

# OSTATNI DZIEŃ SKAZAŃCA

1

Skazany na śmierć!

Od sześciu tygodni żyję z tą myślą, ciągle sam na sam z nią, ciągle zmrożony jej obecnością, ciągle zgięty pod jej ciężarem!

Dawniej - wydaje mi się raczej, że przed laty, nie przed tygodniami - byłem człowiekiem takim samym jak inni ludzie. Każdy dzień, każda godzina, każda minuta miała jakiś sens. Umysł mój, młody i bujny, był pełen fantastycznych wątków. Bawił się rozwijaniem ich przede mną bez ładu i składu, haftując mnóstwem arabesek tę szorstką i cienką tkaninę życia. Były to młode dziewczyny, wspaniałe szaty biskupa, wygrane bitwy, teatry pełne hałasu i światła, i znów dziewczyny i mroczne spacerunki nocą pod szerokimi ramionami kasztanowców. W mojej wyobraźni zawsze było święto. Mogłem myśleć o czym chciałem, byłem wolny.

Teraz jestem więźniem. Moje ciało w okowach lochu, mój umysł uwięziony w jednej myśli, myśli strasznej, krwawej, nieodstępnej!

Mam tylko jedną myśl, jedno przekonanie, jedną pewność: skazany na śmierć!

Cokolwiek robię, zawsze jest przy mnie ta myśl piekielna; niczym łowiane widmo u mego boku, samotna i zazdrosna, odsuwająca wszystkie inne, twarzą w twarz ze mną nieszczęsnym, potrząsająca swymi lodowatymi rękami, kiedy chcę odwrócić głowę albo zamknąć oczy. Wślizguje się pod wszystkie kształty, w które chciałby jej umknąć mój umysł, włącza się jak straszliwy refren we wszystkie słowa kierowane do mnie, lepi się ze mną do ohydnych krat mego lochu, prześladuje mnie obudzonego, czyha na mój konwulsyjny sen i pojawia się w moich rojeniach w postaci noża.

Budzę się raptem ścigany przez nią i mówię sobie: "Ach, to tylko sen!" Otóż zanim nawet moje ociężałe oczy zdążą się otworzyć wystarczająco, by mogły zobaczyć tę nieszczęsną myśl wypisaną na okropnej otaczającej mnie rzeczywistości, na mokrej pocącej się płycie celi, w bladym świetle lampki nocnej, w grubej materii - mego ubrania, na ponurej twarzy strażnika, którego latarka lśni zza kraty lochu - już mi się zdaje, że jakiś głos mi szepnął do ucha: "Skazany na śmierć".

2

Był piękny sierpniowy poranek.

Od trzech dni toczyła się moja rozprawa; od trzech dni moje nazwisko i moja zbrodnia gromadziły co rano mrowie widzów, opadających na ławki sali rozpraw jak stado kruków na trupa; od trzech dni cała ta fantasmagoria sędziów, świadków, adwokatów, prokuratorów królewskich przesuwała się przede mną, to groteskowa, to krwawa, ale zawsze złowieszcza i nieuchronna. Przez dwie pierwsze noce nie mogłem zasnąć z niepokoju i zgrozy, trzeciej nocy spałem z nudy i zmęczenia. O północy sędziowie się naradzali, a mnie zaprowadzono do mego lochu i zapadłem od razu w głęboki sen, sen zapomnienia. Były to pierwsze godziny odpoczynku po wielu dniach.

Tkwiłem jeszcze w samej głębi tego snu, kiedy przyszli mnie zbudzić. Tym razem nie wystarczył ciężki krok i podkute gwoździemi buty strażnika, szczęk pęku kluczy, ostry zgrzyt zamka: z letargu obudził mnie dopiero szorstki głos tuż nad moim uchem i szorstka ręka na moim ramieniu.

- Wstańże pan!

Otworzyłem oczy, usiadłem oszołomiony na wyrku. W tej chwili przez wysokie wąskie okienko celi ujrzałem na suficie korytarza - jedyne nieba, jakie było mi dane oglądać - ten żółty blask, w którym oczy nawykłe do ciemności więzienia potrafią rozpoznać słońce. Kocham słońce.

- Pogoda - odezwałem się do strażnika.

Dłuższą chwilę nie odpowiadał, jakby się namyślając, czy warto tracić choć słowo na próżno, potem z pewnym wysiłkiem mruknął:

- Możliwe.

Trwałem w bezruchu, z umysłem jeszcze na pół uśpionym, z uśmiechem na ustach, ze wzrokiem utkwionym w ten łagodny blask muskający sufit.

- Piękny dzień - powtórzyłem.

- Tak - odpowiedział strażnik. - Czekają na pana.

Tych parę słów, niczym drut przecinający lot owada, przywróciło mnie gwałtem do rzeczywistości. Nagle ujrzałem ciemną salę rozpraw, podkowę dla sędziów pokrytą krwawymi szmatami, trzy rzędy świadków o tępych twarzach, dwóch żandarmów na dwóch końcach mojej ławki i poruszające się czarne suknie, i głowy tłumu mrowiące się w głębi w cieniu, i zatrzymujące się na mnie uważne spojrzenia tych dwunastu przysięgłych, którzy czuwali, kiedy ja spałem!

Podniosłem się; zęby mi szczękały, ręce drżały i nie umiały znaleźć ubrania, nogi się chwiały pode mną. Przy pierwszym kroku zatoczyłem się jak przeciążony tragarz. Mimo to poszedłem za strażnikiem.

Dwóch żandarmów czekało na mnie na progu celi. Włożono z powrotem kajdanki - miały skomplikowany zameczek; oni go starannie zamknęli. Nie opierałem się tej maszynie włożonej na maszynę.

Przecieliśmy wewnętrzny dziedziniec. Ostre ranne powietrze ocuciło mnie. Podniosłem głowę. Niebo było błękitne, gorące promienie słoneczne, przecięte długimi kominami, rysowały wielkie kąty światła na szczytach wysokich ciemnych murów więzienia. Był istotnie piękny dzień.

Weszliśmy po kręconych schodach, przeszliśmy przez jeden korytarz, potem drugi, trzeci, potem otworzyły się niskie drzwi. Gorący powiew pełen hałasu uderzył mnie w twarz: tchnienie tłumu na sali rozpraw. Wszedłem.

Moje wejście powitał szczęk broni i wrzawa. Ławki się przesunęły z hałasem, zatrzeszczały przegrody. Przecinając długą salę między dwoma szeregami ludzi w obramowaniu żołnierzy miałem wrażenie, że jestem ośrodkiem, z którym łączą się nici wprawiające w ruch te wszystkie rozdziawione i pochylone twarze.

W tej chwili spostrzegłem, że nie mam kajdanków, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy mi je zdjęto.

Zapadła kompletna cisza. Doszedłem do swego miejsca. W chwili gdy ustał tumult na sali, ustał także w moim umyśle. Nagle jasno zrozumiałem to, co dotychczas tylko niewyraźnie przewidywałem: nadeszła decydująca chwila i zaraz usłyszę wyrok.

Nielatwo to wytłumaczyć, ale myśl ta nie przeraziła mnie wówczas. Okna były otwarte, powietrze i hałas miasta wpadały swobodnie z zewnątrz, sala była jasna, jakby miał się tu odbyć ślub, wesołe promienie słoneczne przecinały tu i ówdzie świetlisty zarys okien, to wydłużony na podłodze, to rozwinięty na stołach, to załamany na rogach ścian, a każdy promień z tych rombów rozbłyskujących na oknach wycinał w powietrzu wielki pryzmat złocistego pyłu.

Sędziowie w głębi sali mieli zadowolone miny, zapewne z radości, że niedługo będzie po wszystkim.

Twarz przewodniczącego, łagodnie oświetlona odbłaskiem szyby, była dosyć spokojna i dobrotliwa, a jakiś młody asesor mnąc w rękę fontaż, rozmawiał niemal wesoło z ładną młodą kobietą w różowym kapeluszu, siedzącą protekcjonalnie tuż za nim.

Tylko przysięgli wydawali się bladzi i przybici, ale było to chyba wynikiem całonocnego czuwania. Niektórzy ziewali. Nic w ich zachowaniu nie świadczyło, że dopiero co wydali wyrok śmierci; na twarzach tych pocziwych mieszczan widziałem tylko ogromną chęć spania.

Jedno z okien naprzeciw mnie było szeroko otwarte. Słyszałem na bulwarze śmiech kwiaciarek, a na brzegu okna, w szparze muru, ładna żółta roślina, cała prześwietlona słonecznym promieniem, igrała z wiatrem.

Jak mogła się zrodzić złowroga myśl wśród tych wszystkich miłych, wdzięcznych wrażeń? Owiany powietrzem i słońcem, nie potrafiłem myśleć o niczym poza wolnością. Nadzieja promieniała we mnie jak dzień wokół mnie i ufnie czekałem na wyrok, jak się czeka na wyzwolenie i życie.

Tymczasem nadszedł mój obrońca. Czekano na niego. Zapewne skończył właśnie obfite śniadanie. Doszedłszy do swego miejsca pochylił się ku mnie z uśmiechem.

- Jestem dobrej myśli - powiedział.

- Prawda? - odparłem, też lekki i uśmiechnięty.

- Tak - podjął - nic jeszcze nie wiem o ich decyzji, ale zapewne odrzucili premedytację, a wówczas będą tylko dożywotnie przymusowe roboty.

- Co też pan mówi, panie? - odparłem oburzony. - Sto razy wolę już śmierć!

Tak, śmierć! A zresztą, powtarzał mi jakiś wewnętrzny głos, co ja ryzykuję mówiąc to? Czy ogłoszono kiedyś wyrok śmierci inaczej niż o północy, przy pochodniach, w ciemnej sali, zimną deszczową nocą? Ale w sierpniu, o ósmej rano, w tak piękny dzień, i ci pocziwi przysięgli - nie, to niemożliwe! Moje oczy wracały do żółtego kwiatuszka w słońcu.

Wtem przewodniczący, który czekał tylko na adwokata, zachęcił mnie do powstania.

Wojsko wzięło broń na ramię. Jak pod wpływem prądu elektrycznego, całe zgromadzenie powstało w tej samej chwili. Jakiś niepozorny osobnik, umieszczony przy stole pod trybunałem, chyba pisarz sądowy, zabrał głos i odczytał wyrok, wydany przez przysięgłych tej nocy. Zimny pot okrył mi ciało, oparłem się o ścianę, aby nie upaść.

- Czy obrońca ma coś do powiedzenia na temat wyroku? - zapytał przewodniczący.

Ja bym miał wiele do powiedzenia, ale głos uwiązał mi w gardle.

Obróńca wstał.

Zrozumiałem, że próbuje złagodzić postanowienie sędziów i podsunąć zamiast będącej jego następstwem kary - inną karę, której nadzieja wyrażona przez niego tak mnie zraniła niedawno.

Oburzenie musiało być wielkie, skoro przedarło się przez mnóstwo emocji kłębiących się we mnie. Chciałem powtórzyć na głos to, co mu już powiedziałem: Sto razy wolę śmierć! Ale brakło mi tchu i zdołałem tylko powstrzymać go za ramię krzycząc konwulsyjnie: "Nie!"

Prokurator zaoponował obrońcy, a ja go słuchałem z idiotycznym zadowoleniem. Potem sędziowie wyszli, potem wrócili i przewodniczący odczytał wyrok.

"Skazany na śmierć!" - przebiegło przez tłum, a gdy mnie zabierano z sali rozpraw, cały ten tłum runął za mną z łoskotem walącego się budynku. Szedłem pijany i osłupiały. Zaszła we mnie zupełna przemiana. Aż do wyroku śmierci czułem, że oddycham, żyję w tym samym środowisku co inni ludzie - teraz wyraźnie czułem coś jakby przegrodę między sobą a światem. Nic nie wyglądało tak jak przedtem. Te wielkie świetliste okna, to piękne słońce, to czyste niebo, ten śliczny kwiatek - wszystko było białe i blade jak całun. Ci mężczyźni, te kobiety, te dzieci tłoczący się za mną wyglądali niczym zjawy. Na dole, przed schodami, czekał na mnie czarny, brudny, okratowany wóz. Kiedy miałem wsiąść do niego, spojrzałem przypadkiem na plac. "Skazany na śmierć!" - krzyczeli przechodnie biegnąc w stronę wozu. Poprzez mgłę, która oddzieliła mnie od reszty świata, ujrzałem dwie młode dziewczyny, ścigające mnie chciwym wzrokiem. "Dobra - powiedziała młodsza z nich klaszcząc w dłonie - to będzie za sześć tygodni!"

3

Skazany mi śmierć!

A właściwie dlaczego by nie? Wszyscy ludzie - pamiętam, że to gdzieś czytałem, w jakiejś książce, w której nie było nic godnego uwagi prócz tego- wszyscy ludzie są skazani na śmierć z nieokreślonym zawieszeniem. A więc co się zmieniło w mojej sytuacji?

Od chwili odczytania mojego wyroku zmarło już tylu ludzi, którzy planowali długie życie! Tylu mnie wyprzedziło ludzi młodych i zdrowych, i wolnych, na pewno liczących na to, że zobaczą, jak moja głowa spada na placu de Grčve! A iluż jeszcze z tych, co chodzą teraz i oddychają wolnym powietrzem, wyprzedzi mnie w drodze na tamten świat!

A poza tym, czego znów mam tak bardzo żałować w życiu? Ten ponury dzień i czarny chleb więzienny, porcja chudej zupki z kotła galerników, brutalny stosunek strażników do mnie, który otrzymałem staranne wychowanie, brak jakichkolwiek rozmów - bo nikt nie uważa mnie za godnego choćby słowa - bezustanne drżenie przed tym, co uczyniłem i co mnie uczyniła - oto co może mi odebrać kat.

Ach, mimo wszystko to okropne.

4

Czarny wóz zawiózł mnie tutaj, do tej ohydnej Bicêtre. Gmach widziany z daleka wygląda dość majestatycznie. Wznosi się na widnokręgu, przed pagórkiem, i z daleka widać, że zachował coś ze swego dawnego splendoru - przypomina zamek królewski. Ale w miarę zbliżania się pałac staje się rudera. Wykruszone blanki ranią oczy. Coś hańbiącego, nędznego okrywa tę królewską fasadę, rzekłbyś, mury dotknął trąd. Niema szyb w oknach, zamiast nich, ciężkie kraty, za którymi przesuwają się od czasu do czasu wynędzniała twarz więźnia lub szaleńca.  
Oto życie widziane z bliska.

5

Od razu po wejściu pochwyciły mnie żelazne ręce. Mnóstwo środków ostrożności: ani noża, ani widelca do posiłku, kaftan bezpieczeństwa: coś w rodzaju worka z płótna żaglowego uwięziło mi ramiona; cóż, oni odpowiadają za moje życie. Ta kosztowna sprawa może trwać do sześciu lub siedmiu tygodni, a trzeba zachować mnie całym i zdrowym dla placu Grève.  
Przez pierwsze dni traktowano mnie z ohydną łagodnością. Względy strażnika pachną szafotem. Na szczęście po kilku dniach przyzwyczajenie wzięło górę - zaczęto mnie traktować jak innych więźniów, ze zwykłą brutalnością, nie było już tych niepowszednich odruchów grzeczności, stawiających mi bezustannie przed oczyma kata. Było lepiej także pod innymi względami. Moja młodość i potulność, względy więziennego kapelana dla mnie, a zwłaszcza kilka słów po łacinie wypowiedzianych do szwajcara, który ich nie zrozumiał, sprawiły, że pozwolono mi raz w tygodniu na spacer razem z innymi więźniami i że zdjęto kaftan bezpieczeństwa, który krępował mi ruchy. Po wielu wahaniach dano mi także papier, pióra, atrament i lampkę nocną.  
Co niedziela po mszy puszczają mnie na podwórko. Tam rozmawiam z więźniami, inaczej się nie da. Poczciwe ludziska z tych nieszczęśników. Opowiadają mi o swych wyczynach: to napawa grozą, ale ja wiem, że się przechwalają. Uczą mnie złodziejskiego żargonu. Jest to cały język zaszczerpiony na normalnym języku jak jakaś ohydna narośl, brodawka, Czasem niezwykła energia, przerażająca malowniczość. Jest "smoła na płótnie" (krew na drodze), "ożenić się z wdową" (być powieszonym), jak gdyby pętla stryczka była wdową po wszystkich wisielcach. Głowa złodzieja ma dwie nazwy: "sorbona", kiedy się zastanawia, rozumuje i doradza zbrodnię, "kapusta", kiedy ścina ją kat. Czasami groteskowe pomysły: "kaszmir wiklinowy" (wózek łachmaniarza), "kłamczuch" (język), poza tym wszędzie co chwila słowa dziwne, tajemnicze, brzydkie, plugawe; nie wiadomo skąd wzięte: "bela" (kat), "czapa" (śmierć), "szafa" (pluton egzekucyjny). Słowa - ropuchy, słowa - pająki. Kiedy się słyszy ten język, ma się odczucie czegoś brudnego, zakurzonego, jakby ktoś potrząsał przed nami kupą łachmanów.  
Ci ludzie przynajmniej litują się nade mną, tylko oni, nikt więcej. Strażnicy, klawisze i inni - nie mam im tego za złe - rozmawiają i śmieją się, i mówią o mnie w mojej obecności jak o rzeczy.

6

Powiedziałem sobie:

Ponieważ mogę pisać, czemuż bym nie miał tego robić? Ale co pisać, gdy się tkwi wśród czterech ścian, z gołych zimnych kamieni, bez swobody ruchów, bez widoku dla oczu, mając za jedyną rozrywkę powolne przesuwanie się białawego kwadratu, który judasz w moich drzwiach rysuje naprzeciwko na ciemnej ścianie - a w dodatku, jak już mówiłem przed chwilą, sam na sam z jedyną myślą - myślą o zbrodni i karze, o morderstwie i śmierci! Czy mogę mieć coś do powiedzenia - ja, który nie mam już nic do zrobienia na tym świecie? I cóż znajdę w tym mózgu zwiędłym i pustym, co warte byłoby zapisania? Ale właściwie czemu nie? Wprawdzie wszystko wokół mnie jest monotonne i bezbarwne, we mnie jest przecież burza, walka, tragedia! Czyż w miarę zbliżania się terminu ta moja natrętna myśl nie staje przede mną w każdej godzinie, w każdej chwili, w coraz to nowej formie, coraz ohydniejszej i bardziej krwawej? Czemu nie spróbować powiedzieć sobie samemu o wszystkich gwałtownych i nowych wrażeniach, doznawanych w mej sytuacji? To z pewnością obfity materiał, i choć tak niewiele mi pozostało życia - trwoga, groza, męczarnie, które je wypełnia od tej chwili aż do ostatniej, są wystarczającym tworzywem, by wypisać to pióro i cały atrament. Zresztą obserwowanie tych lęków pozwoli mniej cierpieć i da mi trochę rozrywki.

Poza tym wszystko to, co napiszę, będzie może na coś przydatne. Czy ten dziennik mych cierpień godzina po godzinie, minuta po minucie, tortura po torturze - jeśli wystarczy mi siła, by go doprowadzić do momentu, kiedy nie będzie fizycznej możliwości jego dokończenia.

Czy te dzieje moich doznań, siłą rzeczy niedokończone, ale mimo to raczej pełne, nie będą wielce pouczające? Czy w tym protokole myśli w agonii, w tym przyroście męczarni, w tej umysłowej autopsji skazańca nie ma nauki dla tych, co skazują? Może ta lektura powstrzyma ich rękę, kiedy trzeba będzie innym razem rzucić głowę, głowę człowieka, na to, co oni nazywają szalą sprawiedliwości? Może ci nędznicy nigdy nie pomyśleli o tym powolnym następstwie męczarni, zawartym w formule wyroku śmierci? Czy się kiedykolwiek zastanawiali nad tym, że w człowieku, którego ścinają, jest inteligencja - inteligencja, która liczyła na życie, dusza, która nie była przygotowana na śmierć? Nie. Oni widzą w tym wszystkim tylko pionowy ruch trójkątnego noża i myślą zapewne, że dla skazańca nie ma nic przedtem i nic potem.

Te kartki otworzą im oczy. Może ktoś je kiedyś wydrukuje, a one skierują ich umysł na cierpienia umysłu, bo tych zapewne nie podejrzewają. Chętną się tym, że mogą zabijać prawie nie narażając ciała na cierpienie. Jak gdyby o to chodziło! Czymże jest ból fizyczny przy bólu moralnym? Litość i zgroza ogarnia, gdy się myśli o takich prawach. Nadejdzie czas, kiedy to się zmieni, i może mój dziennik, ostatni powiernik nieszczęśnika, przyczyni się do tego.

Chyba że po mojej śmierci wiatr uniesie w przestrzeń te kartki poplamione błotem, a kartki te zgniją na deszczu, przyklepione gwieździście do stłuczonej szyby strażnika.

7

Cóż mi z tego, że to, co tu napiszę, będzie mogło kiedyś przydać się innym, że powstrzyma decyzję, sędziego, że ocali nieszczęśnych, winnych lub niewinnych, od męki, na którą ja jestem skazany. Czyż mi na tym zależy? Kiedy moja głowa zostanie

święta, co mnie obchodzi, że spadną też inne? Czy mogłem naprawdę pomyśleć o tych bzdurach? Znieść szafot, kiedy będzie już po mnie! - Co ja na tym zyskam? Kiedy słońce, wiosna, pola ukwiecone, budzące się rano ptaki, obłoki, drzewa, przyroda, wolność, życie - kiedy to wszystko już będzie nie dla mnie? Ach, to mnie należałoby uratować! Czy naprawdę to nie jest możliwe i trzeba będzie umrzeć jutro, może dziś? O Boże! Straszna myśl, tylko głowę rozwalić o mur lochu!

8

Pomyślmy, co mam jeszcze przed sobą.

Trzydniowy termin od wydania wyroku do założenia rewizji. Osiem dni przerwy, po czym akta zostają przesłane do ministra. Piętnaście dni oczekiwania u ministra, który nie ma nawet pojęcia o ich istnieniu, a mimo to powinien je przekazać po przebadaniu do sądu apelacyjnego.

Tam klasyfikacja, numerowanie, rejestrowanie, bo gilotyna jest obłożona i trzeba czekać na swoją kolej. Piętnaście dni pilnowania, żeby penitent nie był poszkodowany na rzecz kogoś innego.

Wreszcie sąd apelacyjny się zbiera, zazwyczaj w czwartki, odrzuca naraz dziesięć podań i przesyła wszystko ministrowi, który to z kolei odsyła prokuratorowi generalnemu, a ten - katowi. Trzy dni.

Czwartego dnia rano zastępca prokuratora generalnego mówi sobie wkładając krawat: - Trzeba wreszcie z tym skończyć.

I jeżeli zastępca sekretarza nie ma akurat w planie obiadu z przyjaciółmi, polecenie egzekucji zostaje wydane, zredegowane, przepisane na czysto, wysłane, i nazajutrz o świcie słychać na placu Grčve przybijanie pomostu, a na skrzyżowaniach krzyki roznosicieli gazet.

Wszystko razem - sześć tygodni. Tamta dziewczyna miała rację.

Otóż jestem w tej celi co najmniej od pięciu tygodni, może nawet od sześciu, a wydaje mi się, że jestem tu trzy dni; był to czwartek.

9

Zrobiłem testament.

Po co? Skazano mnie na zapłacenie kosztów i wszystko co mam z trudem na to wystarczy. Gilotyna jest bardzo droga.

Zostawiam matkę, zostawiam żonę, zostawiam dziecko.

Trzyletnia dziewczynka, milutka, różowa, krucha, o wielkich czarnych oczach i długich kasztanowych włosach.

Miała dwa lata i miesiąc, kiedy ją widziałem ostatni raz.

A więc po mojej śmierci zostaną trzy kobiety - bez syna, bez męża, bez ojca: trzy różne sieroty, trzy wdowy na mocy prawa.

Zgoda, że jestem słusznie ukarany, ale co zrobiły te niewinne istoty? Mniejsza o to.

Prawo je zbezczeszcza, rujnuje - i to jest sprawiedliwość!

Nie martwię się zbytnio o moją starą matkę: ma sześćdziesiąt cztery lata, ten cios może ją powalić, ale jeżeli jeszcze trochę pociągnie, wystarczy, że będzie miała nieco ciepłego popiołu w swoim piecyku - a nie będzie narzekać.

Żona też nie niepokoi mnie zbytnio, jest już i tak słabego zdrowia, na pewno umrze. Chyba że oszaleje. To podobno przedłuża życie. W każdym razie umysł nie cierpi, jest uśpiony, jakby martwy.

Ale moja córka, moje dziecko, moja biedna Maryjka, która śmieje się, bawi się, śpiewa o tej porze i nie myśli o niczym - ta mnie boli naprawdę.

10

Czym jest mój loch?

Osiem stóp kwadratowych; cztery ściany z ciosanego kamienia, w prawym kącie oparte o blok płyt nieco wyższy od zewnętrznego korytarza. Na prawo od drzwi, przy wejściu, zagłębienie imitujące alkowę. Leży tam wiązka słomy, na której więzień powinien wypoczywać i sypiać, ubrany w płócienne spodnie i w bluzę bawełnianą w lecie i w zimie. Ponad głową zamiast nieba czarna owalna kopuła, z której niczym łachmany zwisają gęste pajęczyny.

Żadnych okien, nawet szpar okiennych; drzwi okute żelazem.

Przepraszam - w środku drzwi, nieco wyżej, otwór dziewięciocalowy, zasłonięty kratą, zamykany na noc przez strażnika.

Na zewnątrz dość długi korytarz, oświetlony, wietrzony wąskimi otworami w górze ściany, podzielony na komórki łączące się ze sobą szeregiem niskich owalnych drzwi; każda z tych komórek służy za coś w rodzaju przedpokoju takiemu lochowi jak mój. Do tych lochów wsadza się więźniów ukaranych dyscyplinarnie przez dyrektora więzienia. Trzy pierwsze komórki są przeznaczone dla skazanych na śmierć, bo znajdują się blisko budki strażnika, któremu łatwiej je obsługiwać.

Te lochy są wszystkim, co pozostało z dawnego zamku Bicetre, zbudowanego w XV wieku przez kardynała Winchester, tego samego, który kazał spalić Joannę d'Arc.

Słyszałem to od ciekawskich, którzy przyszli popatrzeć na mnie w mej komórce, a patrzyli tak, jak na dzikie zwierzę w zoo. Strażnik dostał od nich sto su.

Zapomniałem powiedzieć, że przed drzwiami mego lochu czuwa dniem i nocą specjalny dyżurny i że ilekroć moje oczy podnoszą się ku okratowanemu okienku, napotykają jego oczy, uważne, stale szeroko otwarte.

Zresztą sądzi się, że w tym kamiennym pudle nie brak powietrza i światła.

11

Jeszcze się nie rozwidniło, co robić z nocą? Przyszło mi coś do głowy. Wstałem i skierowałem światło lampki na cztery ściany mej celi. Są pokryte napisami, rysunkami - dziwnymi twarzami i postaciami, imionami i nazwiskami, które się przeplatają, nachodzą na siebie, gmatwają. Wydaje się, że każdy skazaniec chciał zostawić jakiś ślad, przynajmniej tu. Ślady ołówka, kredy, węgla, litery czarne, białe, szare, często głębokie nacięcia w kamieniu, tu i ówdzie litery zardzewiałe, jakby napisane krwią. Na pewno gdyby mój umysł nie był tak pochłonięty, zainteresowałby się tą dziwną księgą rozkładaną strona po stronie przed moimi oczami na każdym kamieniu tego lochu.



Chętnie bym skomponował całość z tych ułamków myśli rozrzuconych na płytach, odnajdowałbym człowieka pod każdym nazwiskiem, zwracałbym sens i życie tym kalekim napisom, tym ułomnym słowom, tym ciałom bez głów, tak jak u tych, którzy je napisali.

Na wysokości mojego wezgłowia są dwa serca przebite strzałą, a nad nimi napis: Miłość do grobu. Nieszczęsny nie podejmował zbyt długotrwałego zobowiązania.

Obok tego - coś w rodzaju trójgraniastego kapelusza, pod nim pośpiesznie nasmarowana twarzyczka i napis: NIECH ŻYJE CESARZ! 1824.

Znów dwa serca z tym typowym dla więzień napisem:

"Kocham i ubóstwiam Mateusza Danvin. Jacek".

Na przeciwległej ścianie napis: Papavoine.. Duże P otoczone ornamentami, misternie ozdobione.

Refren nieprzyzwoitej piosenki.

Czapka frygijska wryta dość głęboko w kamieniu z tekstem poniżej: "Bories - Republika". Był to jeden z czterech podoficerów La Rochelle. Biedny młodzieniec! Jak ohydne są ich rzekome względy polityczne! Za jedną myśl, jedno marzenie, jedną abstrakcję - ta okropna rzeczywistość, której na imię gilotyna! A ja się skarżyłem, ja - nędznik, który popełnił prawdziwą zbrodnię, który przelał krew!

Nie będę dalej prowadził tych badań. Zobaczyłem właśnie narysowany w kącie straszliwy obrazek: zarys szafotu, który może w tej chwili buduje się dla mnie... Lampka omal nie wypadła mi z rąk.

12

Wróciłem pośpiesznie na słomę, usiadłem ukrywając głowę w dłoniach. Po chwili mój dziecinny przestach minął i jakaś dziwna ciekawość zmusiła mnie do dalszej lektury tej ściany. .

Obok słowa czy nazwiska Papavoine zerwałem olbrzymią pajęczynę rozpiętą w kącie, obciążoną kurzem. Pod nią było cztery czy pięć nazwisk zupełnie czytelnych wśród innych, po których zostały tylko plamy na murze. - Dautun, 1815. - Poulain, 1818. Jean Martin, 1821. - Castaing, 1823.

Przeczytałem te nazwiska; napłynęły posępne wspomnienia. Dautun poćwiartował swego brata i szedł nocą przez Paryż, wrzucając głowę do rzeki, a kawałki ciała do rynsztoków. Poulain zamordował swoją żonę. Martin zabił z pistoletu swego ojca w momencie, gdy ten otwierał okno. Castaing był lekarzem, który lecząc przyjaciela podawał mu truciznę zamiast lekarstw. A obok nich Papavoine, ten potworny szaleniec, który, zabijał dzieci raniąc je nożem w głowę!

To tacy byli, mówiłem sobie z dreszczem gorączki biegnącym po plecach - tacy byli przede mną mieszkańcy tej celi! To tu, w tym samym miejscu, gdzie się teraz znajdują, przeżywali swoje ostatnie chwile, snuli i ostatnie myśli ci krwawi mordercy! To wokół tego muru, po tym kwadracie podwórka, dudniły ich ostatnie kroki jak kroki dzikich bestii. Następowali po sobie w krótkich odstępach czasu. Ten loch podobno nigdy nie bywa pusty. Zostawili po sobie ciepłe miejsce - zostawili je mnie. I ja z kolei przyłączę się do nich na cmentarzu Clamart, gdzie jest taka bujna trawa!

Nie jestem ani wizjonerem, ani człowiekiem przesadnym. Możliwe, że to te myśli przyprawiały mnie o dreszcz gorączki, ale gdy tak roilem na jawie, wydało mi się nagle, że te nazwiska są napisane ognistymi literami na czarnej ścianie, a w uszach zaczęło mi nagle tętnić, oczy wypełniły się rdzawym blaskiem: wydało mi się, że loch jest pełen ludzi - dziwnych ludzi, trzymających głowę w lewej ręce - trzymających ją za usta, bo włosów nie mieli. Wszyscy prócz ojcobójcy grozili mi pięścią.

Ze zgrozy zamknąłem oczy, a wtedy zobaczyłem wszystko wyraźniej.

Czy był to, sen, czy zjawa, czy rzeczywistość - na pewno bym oszalał, gdyby nie obudziło mnie na czas nagle uczucie. Miałem właśnie paść na wznak, kiedy poczułem zimny, śliski dotyk na bosej nodze - dotyk zimnego ciała i włochatych nóg: był to pajak, którego mieszkanie zburzyłem i który uciekał.

Wróciło mi poczucie rzeczywistości. O straszliwe widma! - Nie, to był opar, twór mojej wyobraźni, mego mózgu zimnego i konwulsyjnego. Chimera w rodzaju Makbetowej! Umarli to umarli, zwłaszcza tacy jak ci. Są dobrze zamknięci w swych grobach. Z tego więzienia nie ma ucieczki. Czemuż się tak przeląknęłam?

Drzwi grobu nie otwierają się od wewnątrz.

13

Parę dni temu widziałem coś ohydneho.

Właśnie się rozwidniło i więzienie było pełne hałasu. Słychać było otwieranie i zamykanie drzwi, zgrzyt zamków i zasuw, dzwonienie pęków kluczy wiszących u pasów strażników, uginanie się schodów na dole i w górę od pospiesznych kroków, nawoływanie się głosów z obu stron długich korytarzy. Moi sąsiedzi, kajdaniarze odbywający w więzieniu karę, byli weselsi niż zwykle. Cały Bicętre wydawał się roześmiany, rozśpiewany, rozbiegany, roztańczony.

Słuchałem tych odgłosów, jedyny człowiek nieruchomy, zdziwiony i uważny wśród tego tumultu.

Przeszedł jakiś strażnik.

Ośmieliłem się go zawołać i spytać, czy dziś jest jakieś święto w więzieniu.

- Powiedzmy że święto - odrzekł. - Dziś zakuwa się galerników, którzy mają jutro wyjechać do Tulonu. Chce pan zobaczyć? To pana zabawi.

Dla samotnego więźnia takie widowisko, choćby najohydniejsze, jest darem losu.

Zgodziłem się na tę rozrywkę.

Strażnik zastosował zwykłe środki ostrożności i wprowadził mnie do zupełnie pustej celki, całkiem bez sprzętów, o zakratowanym oknie - prawdziwym oknie, znajdującym się na normalnej wysokości, przez które widać było prawdziwe niebo.

- O proszę - powiedział - stąd pan będzie widział i słyszał. Będzie pan sam w swojej izbie jak król.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi na zasuwę i na zamek.

Okno wychodziło na kwadratowe podwórko, dość duże, wokół którego wznosił się - niczym mur - wielki sześciopiętrowy budynek z kamiennych bloków. Trudno sobie wyobrazić coś nędzniejszego, bardziej gołego niż ta poczwórna fasada poprzecinana mnóstwem zakratowanych okien, przy których trwały przylepione od góry do dołu chude i blade twarze, stłoczone jak kamienie w murze, wszystkie jakby obramowane

krzyżującymi się kratami. Więźniowie mieli dziś być świadkami widowiska, zanim przyjdzie ich kolej zostania aktorami. Przypominali dusze pokutujące przed oknami czyścica wychodzącymi na piekło.

Wszyscy wpatrywali się w milczeniu w jeszcze puste podwórko. Czekali. Wśród tych zgasłych i posępnych twarzy błyszczała tu i ówdzie para oczu przenikliwych i żywych jak płomyki.

Kwadrat budynków więziennych otaczających podwórko nie jest szczelnie zamknięty. Jedna z czterech stron gmachu - wschodnia - jest przecięta mniej więcej w połowie i łączy się z sąsiednim budynkiem żelazną kratą. Krata prowadzi na drugie podwórko, mniejsze od pierwszego, podobnie jak ono otoczone murami i czarniawymi wieżyczkami. Wokół całego głównego podwórka stoją kamienne ławy, wsparte o mur. W środku wznosi się żelazny słup - latarnia. .

Wybiło południe. Wielka brama ukryta pod nawisem muru otwarła się nagle. Na podwórko ciężko

wtoczył się ze szcękaniem żelastwa wózek otoczony brudnymi, wynędzniałymi żołnierzami w niebieskich mundurach z czerwonymi naramiennikami i żółtymi pasami na piersi. W wózku były okowy przeznaczone dla galerników.

W tym samym momencie, jak gdyby ów hałas obudził całe więzienie, widzowie w oknach, dotychczas milczący i nieruchomi, wybuchnęli okrzykami radości, śpiewem, pogroźkami, przekleństwami pomieszanymi z salwami śmiechu drażniącymi uszy. Zdawało mi się, że widzę maski diabelskie. Na wszystkich twarzach ukazał się grymas, pięści wysunęły się spoza krat, oczy płonęły i ogarnęła mnie zgroza na myśl, ile iskier kryje się w tym popiele.

Tymczasem eskorta wózka - policjanci, wśród których widać było kilku schludnie odzianych, przerażonych ciekawskich przybyłych z Paryża - brała się spokojnie do swojej roboty. Jeden z nich wszedł na wózek i rzucił swym towarzyszom łańcuchy, kajdanki i sterty płóciennych spodni. Potem podzielili się robotą: jedni zaczęli rozciągać w kącie podwórka długie łańcuchy, które nazywali w swym żargonie sznureczkami, inni układali na płytach *jedwabie* - koszule i spodnie, a tymczasem najbystrzejsi pod okiem swego przywódcy, przysadzistego staruszka, sprawdzali po jednej żelazne kuny, rzucając je na ziemię, gdzie wybuchały iskrami. A wszystko przy akompaniamencie kpiących okrzyków więźniów i jeszcze głośniejszym rechocie galerników, dla których odbywały się te przygotowania i którzy wyglądali przez okna starego więzienia, wychodzące na małe podwórko.

Kiedy skończono przygotowania, jakiś pan haftowany srebrem, do którego zwracano się per panie inspektorze, wydał dyrektorowi więzienia rozkaz, i po chwili dwoje lub troje niskich drzwi wyrzygało niemal jednocześnie na podwórze chmary ohydnych mężczyzn, wrzeszczących i obszarpanych. Byli to galernicy.

Ich zjawienie się wywołało zdwojoną radość w oknach. Kilku z nich - znane postacie z galer - powitano okrzykami i oklaskami, które przyjmowali z niejaką dumną skromnością. Większość miała na głowach kapelusze uplecione własnoręcznie z więziennej słomy, wszystkie o dziwnym kształcie, aby w miastach, przez które mieli przejeżdżać, można ich było rozpoznać. Tym klaskano jeszcze więcej. Zwłaszcza jeden wywołał wybuchy

entuzjazmu: siedemnastoletni młodzieniec o dziewczęcej twarzy. Wyszedł z lochu, w którym siedział w pojedynce od ośmiu dni. Z wiązki słomy upiół kompletne ubranie, które go spowijało od stóp do głów, i dostał się na podwórze tocząc się kołem ze zręcznością węża. Był to cyrkowiec skazany za kradzież. Rozpętał prawdziwą burzę oklasków i okrzyków radości. Galernicy wtórowali i straszna była ta wymiana wesołości między prawdziwymi galernikami, a kandydatami na galerników. Mimo obecności przedstawicieli społeczeństwa - policjantów i ciekawskich - zbrodnia kpiła sobie z niego w żywe oczy i tę straszną karę zamieniała w rodzinną uroczystość. W miarę przybywania byli pędzeni przez szpaler policjantów na małe okratowane podwórko, gdzie miało się odbyć badanie lekarskie. Tu wszyscy się zdobywali na ostatni wysiłek dla uniknięcia podróży, wysuwając jakieś zdrowotne przeszkody, chore, oczy, kulawą nogę, okaleczoną rękę. Ale prawie zawsze uznawano ich za zdalnych do galer, a wówczas każdy się, godził beztrudnie z wyrokiem, z miejsca zapominając o swym rzekomym kalectwie. Krata od małego podwórka otworzyła się znowu. Strażnik zrobił apel wywołując więźniów w alfabetycznym porządku, a oni wychodzili po jednym; każdy się ustawiał w kącie wielkiego podwórza obok przypadkowego towarzysza, którego zyskał dzięki początkowej literze nazwiska. W ten sposób każdy jest zredukowany do siebie, każdy sam dźwiga swój łańcuch, tuż obok nieznanego, a jeżeli przypadkiem galernik ma przyjaciela, dzieli go od niego łańcuch. Dno nędzy.

Gdy wyszła mniej więcej trzydziestka, zamknięto z powrotem kratę. Jeden z policjantów wyrównał szeregi kijem, rzucił każdemu koszulę, kurtkę i spodnie z grubego płótna, potem dał znak i wszyscy zaczęli się rozbierać. Nieoczekiwana okoliczność zamieniła to upokorzenie w torturę.

Dotychczas było dość pogodnie i choć październikowy wiatr oziębiał powietrze, od czasu do czasu robił w szarych mgłach nieba szczerbę, przez którą wpadał słoneczny promień. Lecz ledwo galernicy pozbyli się swoich łachmanów, w chwili gdy stanęli nadzy przed strażnikami i przed gapiami przyglądającymi się im z natrętnym zaciekawieniem, niebo nagle poczerniało, rozpętała się zimna jesienna ulewa. Potoki deszczu spadły na odświeżone głowy, na nagie ciała galerników, na ich nędzne okrycia leżące na płytach. W mgnieniu oka z podwórza zniknęli wszyscy gapie, którzy schronili się pod okapy drzwi. Deszcz padał strumieniami. Na podwórzu zostali tylko nadzy, ociekający wodą galernicy. Posępne milczenie zastąpiło ich głośnie przechwałki. Trzęśli się, zęby im dzwoniły, wychudłe nogi, węzłaste kolana uderzały o siebie. Żal człowieka ogarniał na widok tych nieszczęśników, próbujących osłonić zsiniałe ciała mokrymi bluzami i spodniami. Nagość byłaby lepsza.

Tylko jeden z nich, stary, zachował wesołość. Zawołał wycierając się mokrą koszulą, że tego nie było w programie, po czym wybuchnął śmiechem, grożąc niebu pięścią. Kiedy się wreszcie ubrali w dostarczone im rzeczy, zaprowadzono ich w grupach po dwudziestu - trzydziestu na drugi koniec podwórza, gdzie czekały na nich kordony rozłożone na ziemi. Są to długie i mocne łańcuchy, do których w poprzek przymocowane są inne, krótsze, a na ich końcach znajduje się kwadratowa kuna, otwierana przy pomocy zawiasy umieszczonej z jednej strony, a zamykana po przeciwnej żelaznym

sworzniem, przykutym podczas drogi do szyi galernika. Rozłożone na ziemi, kordony te przypominają kręgosłup wielkiej ryby.

Kazano galernikom usiąść w błocie, na zalanych płytach, przymierzono im obroże, po czym dwaj

kowale, uzbrojeni w przenośne kowadła, zakuli je na nich na zimno, mocno waląc w żelazo. Jest to straszna chwila, kiedy najzuchwalsi bledną. Każde uderzenie młotka o kowadło oparte o ich plecy sprawia, że broda ofiary odskakuje w tył; najmniejszy ruch spowodowałby rozsądzenie czaszki jak skorupki orzecha.

Po tym zabiegu spochmurnieli. Słychać było już tylko szczęk łańcuchów, a od czasu do czasu okrzyk i łomot kija o grzbiet kogoś, kto próbował stawiać opór.

Niektórzy płakali. Starzy drżeli i zagryzali wargi.

Patrzyłem ze zgrozą na wszystkie te posępne profile w żelaznych ramach.

Tak oto po wizycie lekarzy nastąpiła wizyta strażników, a po niej - zakuwanie. Widowisko w trzech aktach.

Znów ukazał się promień słońca, który jakby zapalił te wszystkie mózgi. Galernicy podnieśli się naraz jakimś konwulsyjnym ruchem. Pięć kordonów ujęło się za ręce i utworzyło nagle olbrzymi krąg wokół słupa latarni. Wirowali, aż w oczach zaczęło migotać. Śpiewali pieśń galerników, romans gwarowy na melodię raz żalowaną, raz wściekłą lub wesołą. Raz po raz dawały się słyszeć nieznaczące okrzyki; urywane, zdyszane wybuchy śmiechu mieszające się z tajemniczymi słowami, potem znów szalone wrzaski. Zderzające się rytmicznie łańcuchy służyły za akompaniament tego śpiewu, bardziej chropowatego niż ich odgłosy.

Gdybym chciał dać wizerunek sabatu, nie znalazłbym nic lepszego. Przyniesiono na podwórze wielką balię. Strażnicy przerwali taniec galerników ciosami kijów i zaprowadzili ich do tej bali, gdzie w brudnej parującej cieczy pływało jakieś zielsko. Zaczęli jeść. Po zjedzeniu wyrzucili na bruk resztkę zupy i chleba czaszki i zaczęli znów tańczyć i śpiewać. Podobno pozwala się im na to i po zakuciu, i następnej nocy.

Nagle zostałem wyrwany z głębokiej zadumy: wrzeszczący korowód zatrzymał się i zamilkł. Potem wszystkie oczy skierowały się na okno, w którym stałem.

- Skazany! Skazany! - zawołali wszyscy wskazując mnie palcem, i wybuchy radości wzmogły się.

Skamieniałem.

Nie wiem, skąd mnie znali i jak rozpoznali.

- Dzień dobry! Dobry wieczór! - wołali z okropnym, szyderczym śmiechem. Jeden z młodszych, skazany na dożywotnie galery, o błyszczącej odętej twarzy, patrzył na mnie z zazdrością, mówiąc: - Szczęściarz! Będzie obciachany! Żegnaj towarzyszu!

Nie zdołałem powiedzieć, co się we mnie działo. Istotnie byłem ich towarzyszem. Plac Grčve jest bratem Tulonu.

Stałem nawet jeszcze niżej od nich: to oni czynili mi zaszczyt. Zadrzałem.

O tak, ich towarzysz! A kilka dni później ja bym też im dostarczył widowiska.

Trwałem przy oknie bez ruchu, jak skamieniały, sparaliżowany. Ale gdy zobaczyłem pięć kordonów posuwających się w moją stronę ze słowami piekielnej poufałości, gdy usłyszałem szczękanie łańcuchów, wrzaski, kroki pod murem, wydało mi się, że ta

chmara biesów zaraz wtargnie do mojej nędznej celi. Krzyknąłem, rzuciłem się na ścianę tak gwałtownie, że mogłem zrobić w niej wyłom - lecz ucieczka nie była możliwa: drzwi były zamknięte od zewnątrz. Waliłem w nie pięścią, wołałem z wściekłością. Potem wydało mi się, że straszliwe głosy galerników rozlegają się jeszcze bliżej. Byłem pewien, że ich ohydne głowy już się zjawiają przed moim oknem. Wydałem drugi okrzyk zgrozy i padłem zemdlony.

14

Gdy odzyskałem przytomność, była noc. Leżałem na pryczy. W pełgającym świetle latarni na suficie zobaczyłem inne prycze stojące po obu stronach mojej. Zrozumiałem, że przeniesiono mnie do izby chorych.

Trwałem przez kilka chwil obudzony, ale zupełnie bez myśli i wspomnień, pławiąc się w rozkoszy leżenia w łóżku. Oczywiście w innym czasie to szpitalne łóżko więzienne wzbudziłoby we mnie odrazę i litość, ale nie byłem tym samym człowiekiem.

Prześcieradła były szare i szorstkie, koc cienki i podarty, pod sobą czułem siennik zamiast materaca - cóż z tego? Moje ciało mogło się wyciągnąć do woli w tych grubych prześcieradłach; pod tym cienkim kocem rozpraszało się powoli straszliwe zimno, przenikające do szpiku kości, które dręczyło mnie od tak dawna. Znowu zasnąłem. Zbudził mnie wielki hałas. Był świt. Hałas pochodził z zewnątrz. Moje łóżko stało przy oknie, uniosłem się, aby zobaczyć, co się dzieje.

Okno wychodziło na wielki dziedziniec Bicetre. Było tam pełno ludzi. Dwa szpalery weteranów z trudem utrzymywały wśród tego tłumu wąską dróżkę przecinającą dziedziniec. Między tym podwójnym szeregiem żołnierzy posuwało się wolno, podskakując na nierównych płytach, pięć długich wózków załadowanych ludźmi - byli to odjeżdżający galernicy.

Wózki były odkryte. Każdy kordon zajmował jeden. Galernicy siedzieli bokiem po obu stronach, oparci o siebie, rozdzieleni wspólnym łańcuchem, który się rozwijał wzdłuż wózka i na którego końcu stał policjant z nabitym karabinem. Słysząc było szcęk żelaza, a przy każdym podskoku wózka podskakiwały głowy i kiwały się zwisające nogi. Rzadki, przejmujący deszcz studził powietrze i przylepiał im do kolan płócienne spodnie, teraz już nie szare, lecz czarne. Ich długie brody i krótkie włosy ociekały, twarze mieli sine, drżeli, zęby im dzwoniły z

wściekłości i z zimna. Zresztą nie mieli swobody ruchów. Ktoś przy kuty do tego łańcucha jest już tylko drobną cząstką całości nazywanej kordonem i poruszającej się jak jeden człowiek. Inteligencja musi tu abdykować, kuna galer skazuje ją na śmierć, a co do samego zwierzęcia - nie może mieć potrzeb i chęci poza określonymi godzinami.

I tak nieruchomi, półnaczy, z gołymi głowami i zwisającymi nogami, rozpoczynali swą trzytygodniową podróż załadowani na te same wózki, ubrani w te same ubrania na lipcowe upały i na zimne listopadowe deszcze.

Można by pomyśleć, że ludzie chcą wprzęgnąć i niebo do swojej funkcji katów.

Pomiędzy tłumem a wózkami wywiązał się jakiś okropny dialog: z jednej strony obelgi, z drugiej przechwałki, z obu przekleństwa. Ale na znak dany przez kapitana razy kija spadły na ramiona i głowy siedzących w wózkach i wszystko wróciło do tego

zewnątrznego spokoju, który nazywają porządkiem. Lecz oczy były nadal pełne mściwości, a pięści nieszczęśników zaciskały się na ich kolanach. Pięć wózków w eskorcie żandarmów konnych i strażników pieszych znikło kolejno pod wielką łukową bramą Bicêtre; z tyłu jechał szósty, w którym podskakiwały kociołki, menażki i zapasowe łańcuchy. Kilku strażników, którzy się zatrzymali w kantynie, biegiem dopędziło wózki. Tłum zaczął rzednąć. Całe widowisko znikło jak fatamorgana. Stopniowo słabł w powietrzu turkot kół i tętent kopyt końskich na drodze prowadzącej do Fontainebleau, trzaskanie bicz, szcęk łańcuchów i wrzaski ludu, życzącego galernikom nieszczęśliwej podróży.

Więc taki jest ich początek!

Co też mi mówił adwokat? Galery! O nie, raczej śmierć, raczej szafot niż przymusowe roboty, raczej nicość niż piekło! Raczej dać szyję pod nóż Guillotina niż pod kunę galer! Tylko nie galery, o Boże!

15

Niestety nie byłem chory. Nazajutrz musiałem opuścić izbę chorych. Loch pochwycił mnie znów w swe objęcia.

Nie jestem chory! Istotnie, jestem młody, zdrow i silny. Krew swobodnie krąży mi w żyłach, moje ciało jest posłuszne każdej z zachcianek, mocne jak mój mózg; jestem stworzony do długiego życia. Tak, to wszystko prawda, a jednak jestem bardzo chory, śmiertelnie chory, a ta choroba jest dziełem rąk ludzkich.

Odkąd opuściłem izbę chorych, ogarnęła mnie natrętna myśl, która mnie przyprawiała o szaleństwo: może mógłbym uciec, gdybym został dłużej w izbie chorych. Lekarze i siostry, takie miałem wrażenie, interesowali się moim losem. Umrzeć tak młodo - i taką śmiercią! Można było pomyśleć, że się litują nade mną, tak się uwijali wokół mego łóżka! Ale to była zapewne ciekawość. Poza tym ci, którzy nas leczą, mogą uleczyć z gorączki, i owszem, ale nie mogą uleczyć z wyroku śmierci. A przecież dla nich to byłoby takie łatwe! Zostawić otwarte drzwi - cóż to dla nich znaczy?

Teraz już nie ma nadziei. Moja apelacja będzie odrzucona, ponieważ wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Świadkowie świadczyli jak należy, oskarżyciele oskarżali jak należy, sędziowie sądzili jak należy, czy nie? Nie liczę już na apelację, chyba że... Nie, szaleństwo - żadnej nadziei! Podanie o apelację to sznur, który nas trzyma nad przepaścią i którego pęknięcie słyszymy raz po raz, aż wreszcie puszcza ze świstem. To tak jakby nóż gilotyny opadał całymi tygodniami. A gdybym uzyskał ułaskawienie? Ułaskawienie! A to dzięki komu? Dlaczego? Jak? Nie mogą mnie ułaskawić. Muszę posłużyć za przykład, jak oni się wyrażają.

Zostały mi tylko trzy kroki do zrobienia: Bicêtre, Conciergerie, Grève.

16

W ciągu tych krótkich godzin, jakie spędziłem w izbie chorych, usiadłem kiedyś pod oknem w słońcu - znów się ukazało - a raczej odbierając tę odrobinę słońca, jaką przepuszczwały kraty okienne.

Siedziałem z głową, ciężką i płonąca, w rękach, z łokciami na kolanach, z nogami na poprzeczkach krzesła. Przygnębiecie każe mi kurczyć się i zginać, jakbym nie miał ani kości, ani mięśni.

Ciężkie powietrze więzienne dusiło mnie bardziej niż zwykle, w uszach jeszcze miałem szcęk łańcuchów, czułem wielkie zmęczenie. Myślałem, że Pan Bóg powinien się zlitować nade mną i przysłać mi bodaj małego ptaszka, który by zaśpiewał dla mnie tam, naprzeciw, na skraju dachu.

Nie wiem, czy moich modłów wysłuchał Pan Bóg czy diabeł, ale niemal w tej samej chwili usłyszałem pod oknem głos. Nie był to głos ptaka - coś znacznie lepszego: czysty, świeży, aksamitny głos młodej, może piętnastoletniej dziewczyny. Zaskoczony podniosłem głowę, chciwie wsłuchany w jej piosenkę. Była to melodia powolna i tęskna, coś w rodzaju smutnego, żalosego gruchania. Oto słowa:

*Na Lipowej, koło rzeźni,  
Tralala,  
Wskazał na mnie ten zbereźnik,  
Tajdarida tralala.*

*Obskoczyli mnie skurwiele,  
Tralala,  
Było glin tych małowiele,  
Tajdarida tralala.*

*Rzucili się na mnie zgrają,  
Tralala,  
Już żelazka mi wkładają,  
Tajdarida tralala.*

*Kopie setnie władza z władzą,  
Tralala,  
I do pierdła mnie prowadzą,  
Tajdarida tralala.*

*Poszturchują mnie gałgany,  
Tralala,  
Jeszcze jeden gość szemrany,  
Traidarida tralala.*

*Idzie łotrzyk, gwizdże sobie,  
Tralala,  
Ja do niego gadam: „Chłopie,  
Tajdarida tralala,*

*Idź no powiedz mojej brzanie,  
Tralala,*



Że mnie zamknąć chcą te dranie,  
Tajdarida tralala”.

Moja brzana gada wściekła,  
Tralala,  
I „Coś przeskrobał, czarcie z piekła,  
Tajdarida, tralala?

Coś przeskrobał, mów do czorta,”  
Tralala?  
„Była mokra tam robota,  
Tajdarida tralala.

Forsę gościa załapałem,  
Tralala,  
I manatki jego całe,  
Tajdarida tralala.

I cebulę jego złotą,  
Tralala,  
Do cholery z tą robotą  
Tajdarida tralala

Do cysarza jedzie brzana,  
Tralala,  
I buch przed nim na kolana,  
Tajdarida tralala.

”Ratuj, królu, mego chłopca,  
Tralala,  
W domu dzieciaków głodnych kopa,  
Tajdarida tralala”.

Jeśli ona mnie ocali,  
Tralala,  
Dam jej piękny sznur koralu,  
Tajdarida tralala”.  
Dam jej kiecki atlasowe,  
Tralala,  
I trzewiczki safianowe,  
Tajdarida tralala.

Ale cysarz, zagniewany,  
Tralala,  
Gada tak do mojej brzany,

*Tajdarida tralala:*

*"Na mój honor, niech skubaniec,  
Tralala,  
Tańczy bez podłogi taniec.  
Tajdarida tralala".*

I Nie słyszałem. i nie mogłem słyszeć więcej. Sens tej okropnej skargi, na wpół zrozumiała, na wpół ukryta, ta walka rozbójnika ze strażą, ten złodziej, którego on spotyka i którego wysyła do swojej żony, to przerażające posłanie: „Zabiłem człowieka i jestem aresztowany, była tam mokra robota i jestem w pierdlu”. Ta kobieta, która biegnie do Wersalu z prośbą o ulaskawienie, i ta „Cesarska Mość”, która się oburza i grozi winowajcy, że mu każe tańczyć taniec, w którym nie ma podłogi: a wszystko śpiewane na najśłodsza melodię i najśłodszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszały ludzkie uszy! Byłem zrozpaczony, złodowaciały, unicestwiony. Cóż za odrażająca rzecz - te wszystkie potworne słowa wychodzące ze świeżych różanych ust. Coś jak ślina ślimaka na róży. Nie potrafię przekazać tego, co czułem, była to jednocześnie rana i pieśczoła. Żargon lochu i katorgi, ten język krwawy i śmieszny zarazem, ta ohydna gwara zespolona z głosem dziewczęcym, wdzięcznym przejściem od głosu dziecka do głosu kobiety! Wszystkie te pokraczne, kalekie słowa - śpiewane, pieśczone, perlone! Ach, jakąż ohydną rzeczą jest więzienie! Jest w nim trucizna, która wszystko kala. Wszystko w nim wędnie, nawet głos piętnastoletniej dziewczyny! Spotykasz tam ptaka - ma błoto na skrzydłach; zrywasz ładny kwiat, wączasz go - cuchnie.

17

Ach, gdybym uciekł, jakbym biegł przez pola!  
Nie, nie należałoby biec. Mogłoby to zwrócić na siebie uwagę i wzbudzić podejrzenia. Przeciwnie, iść wolno z podniesioną głową, śpiewając. Postarać się o jakiś stary niebieski kaftan w czerwone wzory. Jest to dobre przebranie, noszą je wszyscy okoliczni ogrodnicy.  
Znam nieopodal Arcueil gęsty lasek, tuż obok bagna; tam jako uczeń co czwartek przychodziłem z kolegami łowić żaby. Tam się schowam aż do wieczora. Kiedy zapadnie noc, pójdę w dalszą drogę. Pójdę do Vincennes. Nie, tam rzeka stanęłaby na przeszkodzie. Pójdę do Arpajon. Lepiej byłoby skierować się w stronę Saint-Germain, dostać się do Hawru i wsiąść na statek do Anglii. Mniejsza o to! Przybywam do Longjumesu. Idzie policjant, pyta mnie o paszport... Jestem zgubiony!  
Ach, marzycielu nieszczęsny, rozbij przedtem mur grubości trzech stóp, który cię zamyka! Śmierć! Śmierć! Śmierć!  
Gdy pomyślę, że jako dziecko przyszedłem tu, do Bicêtre, popatrzeć na wielką studnię i na wariatów!

18

Podczas pisania tego wszystkiego moja lampka zbladła, nastąpił dzień, zegar w kaplicy wybił szóstą.

Co to ma znaczyć? Dyżurny strażnik wszedł do celi, zdjął czapkę, uklonił się, przeprosił, że mi przeszkadza, i zapytał łagodząc swój szorstki głos, co bym chciał dostać na śniadanie.

Dreszcz mnie przebiegł. Czyżby to miało być dziś?

19

To ma być dziś!

Odwiedził mnie sam dyrektor więzienia we własnej osobie. Zapytał, czym może mi służyć, jaką przyjemność mi zrobić. Wyraził życzenie, żebym nie miał powodu do narzekania na niego lub jego podwładnych, interesował się moim zdrowiem i tym, jak spędziłem noc, a odchodząc zwrócił się do mnie per pan.

To ma być dziś!

20

Ten strażnik sądził, że nie mam powodu do narzekania na niego i na jego podwładnych. Ma rację. Nie powinienem narzekać: spełnili swój obowiązek, dobrze mnie strzegli, poza tym byli grzeczni w chwili mego przybycia i - mego odejścia.

Ten pocziwy strażnik ze swoim dobrotliwym uśmiechem, miłymi słowami, okiem, co pieści i szpieguje, z tymi wielkimi i grubymi rękami - to wcielone więzienie, I to Bicie zamienione w człowieka. Wszystko jest wokół mnie więzieniem, odnajduję więzienie pod wszystkimi postaciami, pod postacią ludzką jak również pod postacią kraty czy zamka. Ta ściana jest więzieniem z kamienia, te drzwi są więzieniem z drzewa, ci strażnicy to więzienie z krwi i kości.

Więzienie to rodzaj potwornej istoty, całkowitej, niepodzielnej, półdom, półczłowiek. Jestem jego łupem, ono mnie wysiaduje, obejmuje wszystkimi splotami. Ścisza mnie w murach z granitu, zamyka kłódkami z żelaza i czuwa nade mną oczami strażnika.

O ja nieszczęsny, co ze mną będzie? Co oni ze mną zrobią?

21

Jestem teraz spokojny. Wszystko skończone, naprawdę skończone. Wyzwoliłem się z okropnego niepokoju, w którym mnie pograżyła wizyta dyrektora. Bo muszę wyznać, że jeszcze miałem nadzieję. - Teraz, Bogu dziękować, już nie mam nadziei.

Oto co się zdarzyło.

Kiedy wybiło wpół do siódmej - nie, to było kwadrans po szóstej - uchylły się drzwi mojej celi. Wszedł starzec siwowłosa w brązowym płaszczu. Rozchylił jego poły.

Zobaczyłem sutannę, wyłogę. Był to ksiądz.

Usiadł naprzeciw mnie z życzliwym uśmiechem, potem potrząsnął głową i uniósł ręce ku niebu, to znaczy ku pułapowi celi. Zrozumiałem go.

- Mój synu - powiedział - czy jesteś przygotowany?

Odpowiedziałem mu słabym głosem:

- Nie jestem przygotowany, ale jestem gotów.

Jednocześnie wzrok mi się zmaćcił, ciało pokryło się lodowatym potem, skronie nabrzmiały, w uszach zaczęło brzęczeć.

Kiwałem się na krześle, jakbym spał, a poczciwy staruszek tymczasem mówił. W każdym razie zdawało mi się, że mówi, i chyba pamiętam, że wargi mu drgały, ręce się poruszały, oczy świeciły.

Drzwi otworzyły się po raz drugi. Szczęk zamków wyrwał mnie z osłupienia, a jemu przerwał mowę. Jakiś osobnik w czarnym ubraniu wszedł w towarzystwie dyrektora, przedstawił się i głęboko mi się uklonił.

Człowiek ten miał na obliczu oficjalny smutek urzędników przedsiębiorstwa pogrzebowego.

- Proszę pana - odezwał się do mnie z uprzejmym uśmiechem. - Jestem woźnym przy dworze królewskim w Paryżu. Mam zaszczyt przynieść panu pismo od pana prokuratora generalnego.

Pierwsze zaskoczenie minęło. Powróciła mi cała przytomność umysłu.

- To pan generalny prokurator domagał się tak gwałtownie mojej głowy? Wielki dla mnie zaszczyt, że pisze do mnie. Mam nadzieję, że moja śmierć sprawi mu wielką przyjemność, bo byłoby mi przykro myśleć, że jej się tak usilnie domagał, choć była mu obojętna.

Powiedziawszy to dodałem spokojnie, głosem, który nie zadrżał:

- Proszę czytać.

Zaczął czytać długi tekst przyśpiewując na końcu każdej linijki i zacinając się w połowie każdego słowa. Było to odrzucenie mojej apelacji.

- Wyrok zostanie wykonany dzisiaj na placu Grève - dodał skończywszy czytanie, nie podnosząc oczu znad papieru urzędowego. - Punkt wpół do ósmej wyruszamy do Conciergerie. Czy drogi pan będzie tak bardzo uprzejmy i zechce pójść za mną?

Od kilku chwil już go nie słuchałem. Dyrektor rozmawiał z księdzem. On miał oczy wbite w swój papier, ja patrzyłem na drzwi, które pozostały półotwarte. - Ach, nieszczęsny! Czterech żandarmów na korytarzu!

Woźny powtórzył pytanie, tym razem patrząc na mnie.

- Kiedy pan sobie życzy - odrzekłem. - Jak się panu podoba.

- Będę miał zaszczyt przyjść po pana za pół godziny.

I zostawili mnie samego.

Żeby jakiś sposób ucieczki, o Boże! Jakikolwiek. Muszę uciec! Już! Drzwiami, oknem, po dachu, choćbym, całą skórę miał zostawić na belkach!

O piekło! przekleństwo! potępienie! Potrzeba by miesięcy, aby przewiercić ten mur dobrymi narzędziami, a ja nie mam ani gwoździa, ani godziny!

### *Z Conciergerie*

22

Oto jestem przeniesiony, jak powiada protokół. Ale warto tę podróż opisać.

Wybiło wpół do ósmej, kiedy woźny stanął znowu na progu mojej celi.

- Czekam na pana - powiedział. Niestety, inni też czekają!

Wstałem, zrobiłem krok, zdawało mi się, że drugiego nie zrobię, tak ciężką miałem głowę, a nogi tak słabe. Pozbierałem się jednak i ruszyłem dość pewnym krokiem. Przed

wyjściem z celi obrzuciłem ją ostatnim spojrzeniem. Kochałem ten mój loch. I zostawiłem go pusty i otwarty, co nadaje celi dość dziwny wygląd.

Długo zresztą nie pozostanie pusta. Dziś wieczór czeka już na kogoś, mówią klucznicy - na skazańca, który złożył apelację i którego sprawa jest właśnie rozpatrywana.

Na zakręcie korytarza podszedł do nas kapelan. Pewnie skończył śniadanie.

Po moim wyjściu z celi dyrektor ujął mnie serdecznie za rękę i wzmocnił eskortę o czterech weteranów.

Przed drzwiami szpitalika więziennego konający starzec zawołał: - Do widzenia!

Wyszliśmy na podwórze. Odetchnąłem głęboko; to mi dobrze zrobiło.

Nie szliśmy długo: na pierwszym podwórzu stał pojazd zaprzężony w konie pocztowe, ten sam, który mnie tu przywiózł: rodzaj podłużnego kabrioletu podzielonego na dwie części poprzeczną żelazną kratą, tak gęstą, jakby była zrobiona na drutach. Każda z części ma drzwiczki, jedne z przodu, drugie z tyłu pojazdu. Całość tak brudna, tak czarna, tak zakurzona, że karawan nędzarzy jest w porównaniu z nią kareta.

Przed pogrzebaniem się w tym dwukołowym grobie obrzuciłem podwórze jednym z tych zropczonych spojrzeń, od których, zdawałoby się, powinny pękać mury. Podwórko, niewielki plac obsadzony drzewami, było jeszcze bardziej zatłoczone widzami niż wtedy, gdy wyruszali stąd galernicy.

A więc już tłum!

Tak samo jak tamtego dnia padał też odpowiedni do pory roku drobny lodowaty deszcz, który pada jeszcze teraz, kiedy to piszę, i który będzie padał zapewne przez: cały dzień, który mnie przetrwa.

Droga była zalana, podwórko pełne błota i wody.

Ucieszył mnie ten widok tłumu w błocie.

Woźny i jeden z policjantów wsiedli do przedniego przedziału, ksiądz, ja i drugi policjant do tylnego. Czterech policjantów eskortowało wóz. A więc nie licząc woźnicy - ośmiu ludzi dla jednego człowieka! Wsiadając usłyszałem, jak jakaś stara kobieta o szarych oczach powiedziała:

- Ja to wolę nawet od galerników.

Rozumiem. Jest to widok, który łatwiej ogarnąć spojrzeniem, widzi się wszystko jednocześnie. Jest to równie piękne, a przy tym wygodniejsze. Nic widza nie odrywa od tego. Na scenie jest tylko jeden człowiek, ale ten człowiek jest nędzniejszy niż wszyscy galernicy razem wzięci. Widowisko mniej rozproszone, napój skondensowany, o wiele smakowitszy.

Pojazd ruszył. Przejeżdżając pod sklepieniem bramy wydał głuchy odgłos, potem wyjechał na drogę i ciężkie podwoje Bicêtre zawarły się za nim. Czuwałem zdumiony, jak mnie unosi, niczym człowieka w letargu, który nie może się poruszyć ani zawołać, a który czuje, że go grzebią. Słyszałem mgliście brzęczenie dzwoneczków na szyjach koni pocztowych, dźwięki były rytmiczne i urywane, turkot kół po bruku, podskakiwanie pudła przy zmianie kierunku, dźwięczny galop policjantów wokół pojazdu, trzaskanie z bicia. Wszystko to wydawało mi się unoszącym mnie huraganem.

Poprzez kratę judasza wzrok mój zatrzymał się machinalnie na napisie wyrytym wielkimi literami ponad bramą Bicêtre: PRZYTUŁEK DLA STARCÓW.

„Patrzajcie no - pomyślałem - a więc są ludzie, którzy starzeją się tutaj”.

I jak się dzieje między czuwaniem a snem, obracałem na wszystkie strony tę myśl w moim mózgu, zdrętwiałym z bólu. Nagle pojazd przejeżdżając z alei na szosę zmienił pole widzenia z okienka. Ukazały się w nim wieże Notre-Dame, niebieskie i na wpół zatarte w paryskiej mgle. Od razu zmieniło się także pole widzenia mojego umysłu. Stałem się maszyną, jak pojazd. Myśl o wieżach Notre-Dame zastąpiła myśl o Bicêtre. „Ci, którzy będą na wieży, gdzie jest sztandar, wszystko zobaczą” - pomyślałem z kretyńskim uśmiechem.

Chyba w tym właśnie momencie ksiądz zaczął znów do mnie mówić. Pozwalałem mu na to cierpliwie. Miałem już w uszach turkot, kół, galop koni, bicz woźnicy. Teraz: dołączył się jeszcze jeden odgłos.

\_ Słuchałem w milczeniu tej ulewy monottonnych słów, które usypiały mi myśl jak szmer fontanny i które się przesuwały przede mną wciąż odmienne i wciąż te same, niczym koślawe wiązy na gościńcu, kiedy nagle wstrząsnął mną urywany, szczekliwy głos woźnego, siedzącego na przednim siedzeniu.

- No i co, proszę księdza - mówił prawie wesoło - co ksiądz wie nowego?

Kapelan, który mówił do mnie bez przerwy i którego zagłuszał turkot wozu, nie odpowiedział.

- Ojej - podjął woźny podnosząc głos, aby przekrzyczeć turkot - co za piekielny wóz! Rzeczywiście piekielny.

- Turkot sprawia, że nic nie słyhać. Co to ja chciałem powiedzieć? Niech ksiądz będzie uprzejmy przypomnieć mi, co to ja chciałem powiedzieć. Aha, już wiem! Słyszał ksiądz o tej wielkiej paryskiej nowinie?

Drgnąłem, jak gdyby mówił o mnie.

- Nie - rzekł kapelan, który wreszcie usłyszał - nie miałem czasu przeczytać gazet dziś rano. Zobaczę wieczorem. Kiedy jestem tak zajęty przez cały dzień, polecam dozorczy, żeby wziął dla mnie gazety, i czytam je po powrocie do domu.

- Ba - podjął woźny - niemożliwe, żeby ksiądz o tym nie wiedział. Wielka nowina paryska, najświeższa, dzisiejsza nowina.

- Ja ją chyba znam - wtrąciłem się.

Woźny spojrzał na mnie.

- Pan, naprawdę? A więc co pan o tym powiesz?

- Jaki pan ciekawy! - odparłem.

- Dlaczego? - odparł woźny. - Każdy człowiek ma swoje przekonania polityczne. Ja zbyt pana szanuję, żeby przypuszczać, że pan ich nie masz. Co do mnie, jestem całkowicie za przywróceniem gwardii narodowej. Byłem sierżantem w mojej kompanii i, słowo daję, było to bardzo przyjemne.

- Myślałem, że chodzi o co innego - przerwałem mu.

- O cóż to? Mówiłeś pan, że znasz tę nowinę.

- Mówiłem o kimś innym, którym Paryż też się dzisiaj zajmuje.

Dureń nie zrozumiał, ale rozbudziłem jego ciekawość.

- Inna nowina? Skąd u diabła mogłeś się pan dowiedzieć jakichś nowin? O co chodzi, na litość boską, panie kochany? Może ksiądz wie, o co chodzi? Czy pan jest lepiej

poinformowany ode mnie? Proszę mi zdradzić, bardzo proszę, o co chodzi? Widzi pan, ja lubię nowiny. Opowiadam je panu prezesowi i to go bawi.

I tym podobne bzdury. Zwracał się kolejno to do księdza, to do mnie, a ja na to tylko wzruszałem ramionami.

- No więc - spytał raz jeszcze - o czymżeś pan myślał?

- O tym, że dziś wieczór nie będę już myślał.

- A, o to idzie! Pan się za bardzo przejmujesz. Pan Castaing gawędził.

I po chwili milczenia dodał:

- Odprowadzałem też pana Papavoine, miał na głowie czapkę z wydry i palił cygaro. Co do młodych ludzi z La Rochelle, rozmawiali tylko ze sobą - ale rozmawiali.

Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej:

- Szaleńcy! Entuzjaści! Mieli takie miny, jakby gardzili wszystkimi. A pan, młodzieńcze, naprawdę jesteś zbyt zamyślony.

- Młodzieńcze! - odparłem. - Jestem starszy od pana, każdy upływający kwadrans postarza mnie o rok.

Odwrócił się, patrzył na mnie przez kilka minut z idiotycznym zdziwieniem, po czym zaczął szyderczo się śmiać:

- Co też pan mówisz, kpisz pan sobie: starszy ode mnie - ależ mógłbym być pańskim dziadkiem.

- Wcale sobie nie kpię - odrzekłem poważnie.

Otworzył swoją tabakierkę.

- Proszę się nie gniewać, drogi panie, proszę wziąć szczyptę tabaki i nie mieć do mnie żalu.

- Niech się pan nie obawia, nawet gdybym miał żal, nie będzie to długo trwać.

W tej chwili wyciągnięta do mnie tabakierka zderzyła się z dzielącą nas kratą i spadła pod nogi żandarma.

- Przeklęta kratka! - zawołał woźny i dokończył, zwracając się do mnie:

- Ach, jakież jestem nieszczęśliwy! Cała moja tabaka stracona!

- Ja tracę więcej od pana - odparłem z uśmiechem.

Próbował zebrać tabakę mrużąc przez zęby:

- Więcej ode mnie! Łatwo powiedzieć. Bez krzty tabaki aż do Paryża! Okropne!

Wówczas kapelan zwrócił się do niego ze słowem pociechy, i sam nie wiem, może byłem zamyślony, ale wydawało mi się, że to jest ciąg dalszy perory, której początek był zwrócony do mnie. Stopniowo zaczęła się rozmowa między kapłanem a woźnym.

Pozwoliłem im mówić bez przerwy, a sobie - zagłębić się w myślach.

Zbliżając się do Paryża byłem wciąż jeszcze pochłonięty myślami, zwróciłem jednak uwagę na to, że Paryż jest hałaśliwszy niż zwykle.

Wóz zatrzymał się chwilę przy roгатce. Czuwali nad nią celnicy miejscy. Gdyby chodziło o wołu lub owcę wiezionych do rzeźni, trzeba by było rzucić im sakiewkę z pieniędzmi, ale głowa ludzka nie płaci myta. Przejechaliśmy bez niczego.

Po przecięciu bulwaru pojazd zagłębił się kłusem w stare kręte ulice przedmieścia Saint-Marceau i Cite, które się wiją i przecinają jak setki drózek w mrowisku. Turkot wozu na

bruku tych wąskich ulic stał się tak hałaśliwy i szybki, że nie słyszałem już wcale hałasu na zewnątrz.

Gdy rzuciłem okiem przez judasza, wydało mi się, że strumień przechodniów zatrzymuje się, żeby popatrzeć na wóz i że biegną w ślad za nim grupy dzieci. Zdawało mi się prócz tego, że widzę od czasu do czasu na skrzyżowaniach tu i ówdzie mężczyznę lub starą kobietę w łachmanach, czasami obydwójce razem, trzymających w ręku paczki zadrukowanych kart, które przechodnie wydzielali sobie otwierając usta jakby w głośnym krzyku.

Na zegarze Pałacu wybiło wpół do dziewiątej w momencie, gdy wjechaliśmy na dziedziniec Conciergerie. Zmroził mnie widok jej wielkich schodów, czarnej kaplicy, złowrogich furtek. Kiedy wóz się zatrzymał, myślałem, że zatrzyma się również bicie mego serca.

Zebrałem siły, brama otwarła się z szybkością błyskawicy, wydostałem się z więzienia na kółkach i zagłębiłem się wielkimi krokami pod sklepienie między dwoma szeregami żołnierzy. Za mną już się utworzył spory tłum.

23

Póki szedłem przez publiczne galerie Pałacu Sprawiedliwości, czułem się prawie wolny i swobodny, ale zdecydowanie opuściło mnie całkiem, gdy otwarto przede mną niskie drzwi, sekretne schody, wewnętrzne przejścia, długie głuche korytarze, gdzie wchodzi tylko ci, którzy skazują, i ci, którzy są skazani.

Woźny mi wciąż towarzyszył. Ksiądz opuścił mnie, aby wrócić po dwóch godzinach; miał swoje sprawy.

Zaprowadzono mnie do gabinetu dyrektora i woźny oddał mnie w jego ręce. Dyrektor poprosił go, aby chwilę poczekał, oświadczając, że ma mu przekazać zwierzynę, którą trzeba będzie zawieźć natychmiast do Bicêtre. Pewnie jest to dzisiejszy skazaniec, ten, co będzie spał dzisiaj na wiązce sromy, której ja nie zdążyłem zużyć.

- Dobrze - odrzekł woźny dyrektorowi - poczekam chwilę, zrobimy dwa protokoły naraz, dobrze się składa.

Tymczasem umieszczono mnie w małej izdebce przyległej do gabinetu dyrektora, pozostawiając samego, zamknąwszy drzwi jak należy.

Nie wiem, o czym myślałem, ani jak długo tam byłem, kiedy raptem wyrwał mnie z zamyślenia gwałtowny wybuch śmiechu tuż przy moim uchu.

Podniosłem oczy z drżeniem. Nie byłem już sam w klitce. Był tam oprócz mnie mężczyzna mniej więcej pięćdziesięcioletni średniego wzrostu, pomarszczony, zgięty, siwiejący, przysadzisty, z mętym spojrzeniem szarych oczu, z gorzko uśmiechniętą twarzą, brudny, w łachmanach, półnagi, odrażający.

Widocznie drzwi się otworzyły i wypuły go, potem się zamknęły, a ja tego nie spostrzegłem. O, gdyby śmierć mogła przyjść tak samo!

Przez kilka chwil patrzyliśmy uważnie na siebie, on wciąż się śmiejąc śmiechem podobnym do rżenia, ja na wpół zdziwiony, na wpół przestraszony.

- Kim pan jest? - zapytałem w końcu.

- Zabawne pytanie! - odparł. - Jestem frajer.



- Frajer - co to znaczy?

To pytanie podwoiło jego wesołość.

- To znaczy - zawołał z wybuchem śmiechu - że za sześć tygodni kosiarka zagra w koszyk z moją sorboną, tak samo jak zrobi z twoją pałą za sześć godzin. Cha cha cha! Teraz chyba rozumiesz?

Istotnie zbladłem i włosy stanęły mi dęba. To był ten drugi skazaniec, ten dzisiejszy, na którego czekali w Bicêtre, mój następca.

A on mówił dalej:

- Ze mną to było tak: jestem synem fajnego rzezimieszka, szkoda, że Lolek\* zadał sobie któregoś dnia trud zawiązania mu krawata. To było wtedy, gdy z łaski Boskiej panowała szubienica. Jako sześciolatek nie miałem już ani ojca, ani matki. Latem robiłem młynki w kurzu przydrożnym, aby rzucono mi grosik przez drzwiczki karety pocztowej, w zimie łaźnię boso po błocie i śniegu, dmuchając sobie w czerwone palce. Gołe ciało przeświecało mi przez portki. Gdy skończyłem dziewięć lat, zacząłem się posługiwać swoimi grabami - od czasu do czasu opróżniałem grzebankę, buchałem łupę, w dziesiątym roku życia byłem łotrzykiem. Potem zawarłem znajomości, a w siedemnastym roku życia byłem już rzezimieszkiem. Włamywałem się do sklepidronu, dorabiałem kręciołki. Wzięli mnie. Miałem już odpowiedni wiek, posłano mnie wiosłować w małej marynarce. Galery są ciężkie; sypanie na gołej desce, picie czystej wody, jedzenie czarnego chleba, ciągnięcie za sobą idiotycznych kajdan, do niczego niepotrzebnych, branie razów od bicia i razów od słońca. Poza tym golą człowieka, a ja miałem piękne kasztanowate włosy... Mniejsza o to, odsiedziałem wyrok. Piętnaście lat, niezły kawał czasu. Miałem trzydzieści dwa lata... Pewnego pięknego poranka dali mi kartę drogową i sześćdziesiąt sześć franków, które uciulałem przez piętnaście lat galer pracując po szesnaście godzin dziennie, trzydzieści dni miesięcznie i dwanaście miesięcy rocznie. Mniejsza o to chciałem być uczciwym człowiekiem z sześćdziesięcioma sześcioma frankami, a moje łachmany kryły szlachetniejsze uczucia niż kapota klechy. Ale niech lichy porwie paszport! Był żółty z napisem: zwolniony galernik. Trzeba było pokazywać to wszędzie, gdzie się zatrzymywałem, a poza tym przedstawiać co tydzień burmistrzowi miasteczka, w którym musiałem zamieszkać. Piękna mi rekomendacja: galernik! Ludzie się mnie bali, dzieci uciekały przede mną, zamykano mi drzwi przed nosem. Nikt nie chciał mi dać roboty. Przejadłem te sześćdziesiąt sześć franków. Trzeba było żyć z czegoś. Pokazywałem swoje ręce zdadne do roboty, zamykano przede mną drzwi. Zgadzałem się pracować za piętnaście su całą dniówkę, za dziesięć, za pięć. Nic. Co robić? Pewnego dnia byłem głodny, wywaliłem łokciem szybę piekarni, ukradłem jeden bochenek - piekarz mnie schwytał - dostałem dożywotnie galery, a prócz tego trzy ogniste litery na ramieniu, pokażę ci, jeżeli chcesz. - Tę sprawiedliwość nazywają *recydywą*. No i znów byłem na galerach. Znów Tulon, tym razem z zielonymi czapkami. Trzeba było wiać. Po to musiałem przewiercić tylko trzy mury, przepiłować dwa łańcuchy, a nie miałem nic oprócz gwoźdza. Zwiąłem. Wypalono z armaty na alarm, bo my jesteśmy jak rzymscy kardynałowie: ubrani na czerwono i strzela się z armaty, kiedy odchodzimy. Proch trafił wróble. Tym razem nie było żółtego paszportu; ale nie było też pieniędzy. Spotkałem kumpli, którzy też odsiedzieli swoje albo urwali się z łańcucha. Ich

szef zaproponował mi, żebym do nich przystał. Robili moką robotę na drogach; Zgodziłem się i zacząłem zabijać, aby żyć. Raz był to dylizans, raz kareta pocztowa, raz handlarz byłem na koniu. Zabieraliśmy forszę, konia puszczałyśmy wolno, człowieka grzebaliśmy pod jakimś drzewem uważając, by nogi nie wystawały, i tańczyliśmy na tym miejscu, żeby uklepać ziemię. Zestarzałem się tak, mieszkając w lasach, sypiając pod gołym niebem, wiecznie szczuty, ale przynajmniej wolny. Wszystko ma swój kres, obojętne czy ten, czy inny. Kiedyś handlarze sznurówek złapali nas. Moi kumple uciekli, ale ja, najstarszy z nich, wpadłem w pazury tych kotów w kapeluszach z galonami. Przywieziono mnie tutaj.

Przeszedłem już przez wszystkie szczeble drabiny oprócz jednego. Kradzież chustki czy zabicie człowieka - teraz było już obojętne, chodziło już tylko o nową recydywę. Nic innego, jak przejść przez *kosiarza*. Ze mną poszło raz dwa. Naprawdę zaczynałem się starzeć i nie nadawać się do niczego. Mój ojciec ożenił się z wdową, ja idę złożyć sorbonę. Takie buty, kolego.

Słuchałem go ogłupiały. Zaczął się śmiać jeszcze głośniejsze niż przedtem i chciał wziąć mnie za rękę. Cofnąłem się ze zgrozą.

- Przyjacielu - powiedział - nie wyglądasz mi na odważnego. Nie spietraj się przed Karoliną. Widzisz, czeka cię niemiła chwila na szafie, ale wnet będzie po wszystkim. Chciałbym tam być, żeby ci pokazać, jak się robi koziołka. Słowo daję, nie miałbym nic przeciw temu, żeby skoszono mnie dziś razem z tobą. Ten sam ksiądz obsłuży nas obu, nieważne, że będę dojadł resztki po tobie. Widzisz, jaki ze mnie dobry chłopak, prawda? Zostaniemy przyjaciółmi, co?

Zrobił jeszcze krok, zbliżając się do mnie.

- Bardzo panu dziękuję - odrzekłem odpychając go.

Nowe wybuchy śmiechu w odpowiedzi.

- Ach, ach, wielmożny panie, prawdziwy księżę z pana!

Przerwałem mu:

- Przyjacielu, ja muszę się skupić. Proszę mi dać spokój.

Po tych moich słowach spoważniał, pokręcił siwą i prawie łysą głową i mruknął przez zęby orząc paznokciami zarosłą pierś, wyglądającą spod rozpiętej koszuli:

- Rozumiem, faktycznie dzik...

I po chwili milczenia:

- Słuchaj pan, jesteś księżę, świetnie, ale masz tu fajny surdut, który i tak ci na nic, zabierze go kosiarz. Daj mi go pan, ja go sprzedam i kupię sobie tabaki.

Zdjąłem surdut i dałem mu go. Zaczął klaskać w dłonie z dziecinną radością, ale po chwili widząc, że jestem w samej koszuli i drzę z zimna, powiedział:

- Zimno panu, proszę to włożyć, pada deszcz, zmokniesz pan, no i poza tym trzeba być przyzwoicie ubranym na wózku.

Mówiąc to zdejmował swoją grubą marynarkę z szarej wełny i podawał mi ją.

Nie protestowałem. Oparłem się o ścianę, trudno powiedzieć, jakie wrażenie robił na mnie ten człowiek. Oglądał uważnie surdut, który mu dałem, wydając raz po raz okrzyki radości.

- Kieszenie całkiem nowe! Kołnierz niezniszczony! Dostanę za niego co najmniej piętnaście franków! Co za szczęście! Będę miał dość tabaki na te całe sześć tygodni! Drzwi otworzyły się. Przyszli po nas obu - po mnie, by mię zaprowadzić do pokoju, w którym skazańcy czekają na swoją godzinę; po niego, żeby go zawieźć do Bicêtre. Stał ze śmiechem pośród pikiety, która miała go zabrać, i mówił do żandarmów: - Panowie, proszę się nie pomylić, myśmy się zamienili łupiną, ale nie bierzcie mnie zamiast niego. Tam do licha, mnie to by nie urządzało teraz, kiedy będę miał dosyć tabaki do końca.

24

Ach, stary łotr, zabrał mój surdut, bo przecież ja mu go nie dałem, i wpakował mi ten łach, tę swoją ohydną marynarkę. Jak ja w niej będę wyglądał? Pozwoliłem zabrać marynarkę nie z powodu bez troski albo z litości - nie, tylko dlatego, że był silniejszy ode mnie. Gdybym odmówił, zbiłby mnie swymi grubymi kulakami. Akurat, litość! Jeszcze czego! Wszystko we mnie wrzało. Chętnie bym go zadusił gołymi rękami, starego złodzieja! Stratowałbym go nogami! W sercu mam pełno wściekłości i goryczy. Pewnie pękł mi woreczek żółciowy. Śmierć sprawia, że człowiek robi się zły.

25

Zaprowadzili mnie do celi, gdzie są tylko cztery ściany z mnóstwem krat w oknie i mnóstwem rygli w drzwiach, oczywiście. Poprosiłem o stół, krzesło i przybory do pisania. Przynieśli mi to wszystko. Potem poprosiłem o łóżko. Strażnik popatrzył na mnie zdurnionym spojrzeniem, które zdawało się mówić: "Po co?" A jednak wstawili łóżko polowe w kącie. Lecz jednocześnie w tym, co oni nazywają moim pokojem, ulokował się policjant. Czyżby się bali, żebym się nie udusił materacem?

26

Jest dziesiąta.  
O moja biedna córeczko! Jeszcze sześć godzin, a będę martwy, będę ohydną rzeczą, poniewierającą się na zimnym stole teatru anatomicznego, głową rozbijaną w jednym kącie, korpusem ćwiartowanym w innym. Potem resztkami napelnia trumnę i wszystko to pójdzie do Clamart.  
Oto co zrobią z twoim ojcem ci ludzie, z których żaden mnie nie nienawidzi, wszyscy się nade mną litują i wszyscy mogliby mnie uratować. A tymczasem oni mnie zabijają. Czy rozumiesz to, Maryjko? Zabijają z zimną krwią, ceremonialnie, dla dobra sprawy! Boże wielki!  
Biedne dziecko! Twój ojciec, który cię tak kochał, który całował twoją białą szyjkę, który błędził bez przerwy ręką w twoich włosach jak jedwab, który brał w ręce twoją śliczną okrągłą twarzyczkę, który podrzucał cię na kolanach, a wieczorem składał ci rączki do pacierza!  
Kto teraz będzie robił to wszystko? Kto będzie cię kochał? Wszystkie dzieci w twoim wieku będą miały ojca prócz ciebie. Jak się odzwyczaisz, moje dziecko, od prezentów

gwiazdkowych, od pięknych zabawek, cukierków i pocałunków? Jak się odzwyczaisz, nieszczęśliwa sierotko, od jedzenia i picia?

Ach, gdyby ci przysięgli widzieli przynajmniej moją śliczną Maryjkę, zrozumieliby, że nie należy zabijać ojca trzyletniego dziecka.

A kiedy będzie duża - jeżeli dożyje - co z nią będzie? Jej ojciec pozostanie w pamięci paryskiego ludu. Będzie się rumieniła za mnie i za moje nazwisko, będzie pogardzana, odrzucana z mojego powodu - z powodu mnie, który ją kocham całą czułością mego serca. O moja biedna, ukochana Maryjko! Czy możliwe, że będziesz się mnie wstydzić i brzydzić?

Nędzniku, jaką zbrodnię popełniłeś i jaką zbrodnię każesz popełnić społeczeństwu!

Och, czy możliwe, że umrę dziś jeszcze? Czy możliwe, że to będę ja? Te głuche odgłosy, które słyszę na zewnątrz, ten potok radosnych ludzi, co się już spieszy w tę stronę, ci policjanci szykujący się w swoich koszarach, ten ksiądz w czarnej sutannie, ten człowiek o czerwonych rękach - to wszystko z mojego powodu! To ja mam umrzeć, ja, ten, co tu jestem, co żyję, poruszam się, oddycham, siedzę przy tym stole, który jest podobny do innego stołu i mógłby być gdzie indziej - wreszcie, ten, który siebie dotykam i czuję i którego ubranie układa się w te oto fałdy!

27

Gdybym choć wiedział, jak to jest, w jaki sposób umiera się na tym, ale, okropność, nie wiem tego.

Straszliwa jest nazwa tej rzeczy, nie rozumiem, jak mogłem dotychczas pisać ją i wymawiać.

Połączenie tych ośmiu liter, ich wygląd, ich fizjonomia są stworzone, by budzić przerażające myśli, a nieszczęsny lekarz, który wynalazł tę rzecz, miał nazwisko w sam raz do tego.

Obraz, który ja wiążę z tym ohydny słowem, jest mglisty, nieokreślony, i tym bardziej złowrogi. Każda sylaba jest jakby częścią maszyny. Bez przerwy buduję i burzę w myśli jej potworne rusztowanie.

Nie mam odwagi zadać pytania o nią, ale to straszne nie widzieć, co to jest ani jak się zabrać, do tego. Podobno jest tam poprzeczka i kładą człowieka na brzuchu...

Och, zanim głowa spadnie, zbieleją mi włosy!

28

A jednak kiedyś ujrzałem ją przelotnie.

Pewnego dnia około jedenastej rano jechałem kareta przez plac Grčve. Nagle kareta się zatrzymała.

Na placu był tłum. Wychyliłem głowę przez drzwiczki.

Motłoch wypełniał plac i bulwar, mnóstwo kobiet, mężczyzn i dzieci stało na balustradzie. Ponad głowami widać było coś w rodzaju czerwonego drewnianego podium, które wznosiło trzech ludzi.

Tego dnia właśnie miał być ścięty jakiś skazaniec i budowano maszynę.

Odwróciłem głowę od razu, nie dojrzawszy szczegółów, Obok mego powozu jakaś kobieta mówiła do dziecka:

- Patrz, nóż źle działa, oni zaraz posmarują ostrze kawałkiem świecy.  
Chyba dziś oni to właśnie robią. Wybiła jedenasta.  
Pewnie smarują ostrze woskiem,  
O, tym razem ja nieszczęsny nie odwrócę głowy.

29

Och, ułaskawienie, ułaskawienie! Może mnie ułaskawią. Król nie jest wrogo do mnie nastawiony. Niech sprowadzą mojego adwokata. Zgadzam się na galery, i owszem. Pięć lat galer, i koniec na tym, albo dwadzieścia lat - albo dożywocie wraz z wypalonym piętrem. Ale darujcie mi życie!  
Galernik to coś, co jeszcze chodzi, porusza się, coś, co widzi słońce.

30

Ksiądz wrócił.

Ma siwe włosy, poczciwą i czcigodną twarz o bardzo łagodnym wyrazie; faktycznie jest to człowiek doskonały i pełen litości. Dziś rano widziałem; jak rozdaje pieniądze więźniom. Jakże się dzieje, że w jego głosie nie ma nic wzruszającego ani też wzruszonego? Jak się dzieje, że mi jeszcze nic nie powiedział, co by mi podziało na umysł lub na serce? Dziś rano byłem nieprzytomny, Prawie nie słyszałem, co do mnie mówił, ale jego słowa wydały mi się zbędne, nie poruszyły mnie wcale, ześlizgiwały się jak ten zimny deszcz po lodowatej szybie.

A jednak gdy wrócił do mnie przed chwilą, jego widok ucieszył mnie. Ze wszystkich tych ludzi tylko on jest jeszcze dla mnie człowiekiem, pomyślałem. I poczułem gorące pragnienie słów dobrych, słów pociechy.

Usiedliśmy, on na krześle, ja na łóżku. Zaczął:

- Synu mój... - Słowo to otworzyło mi serce. Kontynuował: - Synu mój, czy wierzysz w Boga?

- Tak, proszę księdza.

- Czy wierzysz w święty Kościół katolicki, apostołski i rzymski?

- Owszem - odrzekłem.

- Synu mój, wydaje mi się, że wątpisz.

I zaczął mówić. Mówił długo, powiedział wiele słów.

Potem sądząc, że skończył, wstał i spojrzawszy na mnie po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia przemowy zapytał:

- No i co?

Twierdząc, że słuchałem go najpierw chciwie, potem uważnie, potem ufnie.

Ja też wstałem i odrzekłem:

- Bardzo proszę, aby ksiądz mnie zostawił samego.

- Kiedy mam wrócić? - zapytał.

- Dam księdzu znać.

Wtedy wyszedł bez słowa, ale kiwając głową, jakby mówił do siebie:

- Bezbożnik!

O nie, wprawdzie nisko upadłem, ale bezbożnikiem nie jestem i Bóg mi świadkiem, że wierzę w Niego. Ale co mi powiedział ten starzec? Nic wzruszającego, nic tkliwego, nic

wyplakanego, nic wydartego z duszy, nic, co by płynęło z jego serca do mojego, nic, co by łączyło nas z sobą. Przeciwnie, coś mglistego, niewyraźnego, dającego się zastosować do wszystkiego i do wszystkich; emfaza tam, gdzie potrzeba było głębi, płaskość tam, gdzie była potrzebna prostota, rodzaj sentymentalnego kazania czy elegii teologicznej. Tu i ówdzie łacińska cytata. Święty Augustyn, święty Grzegorz, bo ja wiem? A poza tym przypominało to lekcję wyrecytowaną już parędziesiąt razy, powielenie tematu zatartego w pamięci, bo zbyt dobrze znanego. Ani żywszego spojrzenia w oku, ani żywszego tonu w głosie, ani żywszego gestu rąk.

Ale czy mogło być inaczej? Ten ksiądz jest oficjalnym kapłanem więziennym. Jego funkcja polega na pocieszaniu i upominaniu, z tego żyje. Galernicy, skazańcy mieszczą się w zakresie jego elokwencji. On ich spowiada i niesie im ostatnią pociechę, bo to należy do jego obowiązków. Zestarzał się towarzysząc ludziom w ich drodze na śmierć.. Od dawna jest przyzwyczajony do tego, co innych przyprawia o dreszcz, jego włosy, dostatecznie przyprószone siwizną, nie stają już ze zgrozy, galery i szafot są dla niego chlebem powszednim. Jest zobojętniały. Prawdopodobnie ma notatki, specjalny zeszyt: osobno galernicy, osobno skazani na śmierć. Zawiadamia się go w przeddzień, że nazajutrz o tej a tej godzinie trzeba będzie kogoś pocieszać, on pyta, kto to jest: galernik czy skazany na śmierć, czyta odpowiednią stronicę i przychodzi. Tym sposobem ci, co jadą do Tulonu, i ci, co jadą na plac Grčve, są komuną dla niego, a on komuną dla nich.

Ach, niechże mi zamiast niego sprowadzą jakiegoś młodego wikariusza lub starego proboszcza, na chybił trafił, z pierwszej lepszej parafii, niech go wezmą sprzed kominka, przy którym czytał książkę niczego nie przeczuwając, i niech mu powiedzą:

- Pewien człowiek ma umrzeć i ksiądz ma go pocieszyć, ksiądz ma być przy tym, kiedy będą mu wiązać ręce, kiedy będą mu strzyc włosy; ksiądz ma wsiąść z nim razem do wózka z krucyfiksem, aby przed nim zasłonić kata, jechać z nim razem aż do placu Grčve, przejść razem z nim przez okropną, spragnioną krwi tłuszcę, ucałować go u stóp szafotu i pozostać tak długo, aż głowa się oddzieli od ciała.

A wtedy niech mi go przyprowadzą drżącego, dygocącego od stóp do głowy, niech mnie rzucą w jego ramiona, do jego kolan, i niech on zapłacze, niech zapłaczemy obydwaj, i on będzie wymowny, a ja doznam, pociechy, i moje serce przeleje się w jego serce, i on przyjmie moją duszę, a ja przyjmę jego Boga.

Ale czym jest dla mnie ten poczciwy starzec? Czym ja dla niego? Osobnikiem nieszczęsnego gatunku, cieniem jakich już widział wiele, jednostką dodaną do liczby egzekucji.

Może nie mam słuszności, że go odpycham; to on jest dobry, a ja niedobry. Niestety, to nie moja wina. To mój oddech skazańca psuje i kazi wszystko.

W tej chwili przyniesiono mi jedzenie, myśleli, że mam apetyt. Delikatne, wyszukane dania, kurczak chyba i coś tam jeszcze. No i co? Próbowałem jeść, ale już pierwszy kęs wypadł mi z ust, wydał mi się okropny i gorzki.

Właśnie wszedł jakiś pan w kapeluszu na głowie, ledwo spojrzał na mnie, potem rozwinął składany metr i zaczął mierzyć z dołu w górę kamienne ściany, mówiąc bardzo głośno raz: "Tak, tak," raz: "Nie, nie".

Zapytałem policjanta, kto to jest, podobno ktoś w rodzaju architekta, zatrudniony w więzieniu.

On ze swej strony też był ciekaw, kim ja jestem, zamienił kilka słów z towarzyszącym mu klucznikiem, spojrzał na mnie uważnie, pokiwał głową z beztróską miną, po czym znów zaczął głośno mówić i mierzyć ściany.

Skończywszy robotę zbliżył się do mnie mówiąc swym grzmiącym głosem:

- Drogi panie, za pół roku to więzienie będzie znacznie lepsze.

Jego gest zdawał się mówić: „Nie skorzysta pan na tym, jaka szkoda”.

Niemal się uśmiechał. Miałem wrażenie, że zaraz pocznie kpić sobie ze mnie pocziwie, jak się żartuje z młodej mężatki w dniu ślubu.

Mój policjant, stary wiarus z galonami, wziął na siebie odpowiedzialność:

- Proszę pana - odezwał się - nie mówi się tak głośno w pokoju nieboszczyka.

Architekt wyszedł.

Ja tkwiłem jak jeden z kamieni, które mierzył przed chwilą.

32

A potem zdarzyło mi się coś groteskowego.

Ktoś przyszedł zluzować mojego pocziwego starego policjanta, któremu ja, egoista, nie uścisnąłem nawet ręki. Zastąpił go inny, człowiek z cofniętym czołem, o oczach wołu, obliczu bez wyrazu.

Zresztą nie zwróciłem na niego najmniejszej uwagi. Siedziałem przy stole obrócony plecami do drzwi, usiłując ochłodzić sobie czoło dłonią, z myślami kłębiącymi się w głowie.

Poczułem, że ktoś dotknął mego ramienia, odwróciłem głowę: był to nowy policjant, z którym zostałem sam na sam.

Zwrócił się do mnie w ten mniej więcej sposób:

- Czy ma pan dobre serce, panie kryminalisto?

- Nie - odparłem.

Ta szorstka odpowiedź jakby zbiła go z tropu, ale podjął z wahaniem:

- Ludzie nie są źli dla samej przyjemności, aby być źli.

- Czemu nie? - odparłem. - Jeżeli nie ma pan mi nic innego do powiedzenia, daj mi pan spokój. O co panu idzie?

- Przepraszam, panie kryminalisto - odrzekł. - Tylko dwa słówka. Chodzi o to: Jakbyś pan mógł uszczęśliwić biednego człowieka, a nic by cię to nie kosztowało, czy nie zrobiłbyś tego?

Wzruszyłem ramionami.

- Masz pan bzika, czy co? Akurat trafiłeś na kogoś, kto może dać szczęście.

Zniżył głos i przybrał tajemniczą minę, co wcale nie pasowało do jego głupawej twarzy.

- Tak, panie kryminalisto, tak, szczęście, tak, majątek. To wszystko zależy od pana. To jest tak: ja jestem biedny policjant, mam ciężką robotę, a płacę marną, koń jest mój i

rujnuje mnie. Otóż gram na loterii, aby jakoś wyżyć. Trzeba mieć jakiś dobry fach. Dotychczas brakło mi do wygranej tylko dobrych numerów. Szukam wszędzie pewnych, ale zawsze trafiam tuż obok. Stawiam na 76, wygrywa 77. Na nic starania, wydatki. Chwileczkę cierpliwości, zaraz skończę. Teraz jest dobra okazja dla mnie. Mówią, przepraszam, panie kryminalisto, że pan jest na dzisiaj. Wiadomo na pewno, że tacy zmarli, którzy tak giną, przewidują numery loteryjne. Obiecuj mi pan, że przyjdiesz jutro wieczór, co panu zależy, żeby mi dać trzy numery, trzy pewne. Co? Ja się nie boję upiorów, możesz pan być spokojny. Otóż mój adres: Koszary Popincourt, klatka schodowa A, nr 26, na końcu korytarza. Pan mnie pozna, prawda? Przyjdź pan nawet dziś, jak pan wolisz.

Nie byłbym odpowiedział durniowi, gdyby nagła szalona nadzieja nie przeszła mi mózgu. W takiej rozpaczliwej sytuacji jak moja tonący brzytwy się chwytą.

- Słuchaj no - powiedziałem grając rolę w tej mierze, w jakiej może ją grać ten, co wnet umrze - ja naprawdę mogę cię wzbogacić, zrobić tak, żebyś wygrał miliony, ale pod jednym warunkiem.

Patrzył na mnie kretyńskim wzrokiem.

- Jakim, jakim? Na wszystko się zgadzam, panie kryminalisto.

- Zamiast trzech cyfr obiecuję ci cztery. Ale zamień się ze mną ubraniem.

- Tylko tyle! - zawołał rozpinając pierwsze guziki swego munduru.

Wstałem z krzesła. Śledziłem wszystkie jego ruchy, serce mi waliło. Widziałem już drzwi otwierające się przed mundurem policjanta, i plac, i ulicę, i Pałac Sprawiedliwości poza mną!

Ale on odwrócił się z wahaniem.

- O, pewnie po to, aby stąd wyjść?

Zrozumiałem, że wszystko stracone. Ale zrobiłem ostatni wysiłek, zupełnie zbyteczny i zupełnie bezsensowny.

- Tak - rzekłem - ale masz zapewnioną wygraną.

Przerwał mi:

- Ależ nie! Bo te moje numery... Jak mają być dobre, musisz pan nie żyć.

Usiadłem z powrotem, jeszcze bardziej zrozpaczony dlatego, że na chwilę błysnęła mi nadzieja.

33

Zamknąłem oczy, nakryłem je dłońmi i próbowałem zapomnieć o terażniejszości, zastępując ją przeszłością. Kiedy tak marzę, powracają do mnie, stopniowo, wspomnienia z dzieciństwa i młodości, spokojne, łagodne, uśmiechnięte, niczym ukwiecone wyspy nad otchłanią czarnych myśli, co wirują w mym mózgu.

Widzę siebie znów dzieckiem, roześmianym i hożym uczniakiem, bawiącym się, goniącym, krzyczącym z braćmi w wielkiej zielonej alei dzikiego ogrodu, gdzie upłynęły moje pierwsze lata, w byłej posiadłości zakonnicy, nad którą wznosi się ołowiana głowa mrocznej kopuły Val-de-Grace.

A później, po czterech latach, znów siebie tam widzę, jeszcze dzieckiem, ale już rozmarzonym i płomiennym. W tym samotnym ogrodzie jest także dziewczyna.



Mała Hiszpanka o wielkich oczach i bujnych włosach, o opalonej złotawej cerze, czerwonych wargach i różowych policzkach, czternastoletnia Andaluzyjka Pepa. Nasze matki kazały nam biegać razem, a my poszliśmy się przejść.

Kazano nam bawić się, a my rozmawiamy, dwoje dzieci w tym samym wieku, ale nie tej samej płci.

A przecież dopiero niecały rok temu biegaliśmy razem, biliśmy się nawet. Sprzeczałem się z Pepitą o najpiękniejsze jabłko na jabłoni, biłem ją z powodu ptasiego gniazda. Kiedy płakała, mówiłem: "Trudno", i szliśmy poskarżyć się naszym matkom, które potępiały nas głośno, a po cichu przyznawały nam rację.

Teraz Pepa opiera się na moim ramieniu, a ja jestem dumny i wzruszony. Idziemy wolno, rozmawiamy cicho. Ona upuszcza chusteczkę, ja ją podnoszę. Nasze ręce drżą przy dotknięciu. Ona mi mówi o ptaszkach, o dalekiej gwiazdzie, o purpurowym zachodzie za drzewami lub też o koleżankach z pensji, o swej sukience i wstążkach. Mówimy o rzeczach niewinnych i rumienimy się oboje. Mała dziewczynka stała się młodą dziewczyną.

Tego wieczoru - był to letni wieczór - byliśmy pod kasztanami w głębi ogrodu. Po jednej z tych długich przerw w rozmowie, które zdarzają się często w czasie naszych przechadzek, nagle wyjęła rękę spod mego ramienia i powiedziała: "Biegnijmy!"

Widzę ją jakby dziś, była w czerni, żaloba po babce. Wpadła jej do głowy ta dziecinna myśl, Pepa stała się na powrót Pepitą, powiedziała mi: "Biegnijmy".

I pobiegła przede mną z tą swoją wąską talią jak wcięcie osy, jej małe nóżki zadzierały sukienkę ukazując pół łydki. Ścigałem ją, ona uciekała, wiatr wzniecony jej biegiem podnosił niekiedy jej pelerynkę odsłaniając opalone jędrne plecy.

Byłem niezmiernie poruszony. Dopędziłem ją tuż przy starej zniszczonej studni, prawem zwyczajcy ująłem ją w pasie i posadziłem na ławce z darni. Nie opierała się. Była zdyszana i roześmiana. Ja byłem poważny i patrzyłem w jej czarne oczy przysłonięte czarnymi rzęsami.

- Usiądź tu przy mnie - powiedziała. - Jest jeszcze całkiem jasno, poczytajmy sobie. Masz jakąś książkę?

Miałem przy sobie drugi tom *Podróży Spalanzoniego*. Otworzyłem na chybił trafił, usiadłem tuż przy niej, ona oparła się o mnie i zaczęliśmy czytać po cichu każde dla siebie.

Przed odwróceniem kartki musiała zawsze czekać na mnie. Mój umysł był mniej lotny niż jej.

- Skończyłeś? - pytała, kiedy ja dopiero zaczynałem.

A tymczasem nasze głowy się dotykały, włosy się mieszały, oddechy się zbliżały stopniowo - a potem nagle też nasze usta.

Kiedy chcieliśmy wrócić do lektury, niebo było już rozgwieżdżone.

- Ach, mamó, mamó - powiedziała po powrocie - gdybyś wiedziała, jak myśmy biegli!

Ale ja milczałem.

- Nic nie mówisz - zauważyła moja matka, - Masz smutną minę.

Miałem w sercu raj.

Ten wieczór będę pamiętał do końca życia.

Do końca życia!

34

Wybiła godzina, ale nie wiem która, nie dosłyszę bicia zegara. Mam wrażenie, że w uszach mi huczą organy, a to brzęczą moje ostatnie myśli.

W tym ostatecznym momencie, kiedy gromadzę wspomnienia, odnajduję w nich moją zbrodnię ze zgrozą, chciałbym jednak czuć jeszcze większą skruchę. Przed skazaniem miałem silniejsze wyrzuty sumienia; od tego czasu wydaje się, jakby nie było już miejsca dla niczego - prócz myśli o śmierci. A przecież chciałbym czuć jeszcze większy żal za to, com uczynił.

Gdy myślę przez chwilę o tym, co się działo dawniej w moim życiu, i przechodzę do ciosu nożem, który ma je zakończyć za chwilę, drzę, jakbym się dowiedział czegoś nowego.

Moje piękne dzieciństwo! - pozłocista tkanina o zakrwawionym brzegu. Między przeszłością a teraźniejszością jest rzeka krwi: krwi cudzej i mojej.

Jeżeli ktoś przeczyta któregoś dnia moje dzieje, nie uwierzy - po tylu latach niewinności i szczęścia - w ten okropny rok, który otwiera się zbrodnią, a zamyka straceniem: obie te strefy nie mają nic wspólnego ze sobą.

A jednak, o nędzo praw i nędzo ludzi, nie byłem złym człowiekiem!

Och, umrzeć za kilka godzin z myślą, że rok te mu tego samego dnia byłem wolny i czysty, że odbywałem zwykłe jesienne spacerki, błądziłem wśród drzew, kroczyłem po zwiędłych liściach!

35

Właśnie w tej chwili wszędzie wokół mnie, we wszystkich tych domach otaczających Pałac i Grève i wszędzie w Paryżu pełno jest ludzi chodzących, rozmawiających, śmiejących się, czytających gazety, myślących o swoich sprawach: kupców, którzy sprzedają, młodych dziewcząt, które przygotowują suknię balową, matek, które bawią się z dziećmi!

36

Pamiętam, że jako dziecko poszedłem któregoś dnia popatrzeć na wielki dzwon w Notre-Dame.

Byłem oszołomiony już po wdrapaniu się ciemnymi krętymi schodami, po przejściu kruchą galerią łączącą obie wieże, po ujrzeniu Paryża pod nogami, kiedy wszedłem do klatki...z kamienia i drzewa, gdzie wisi dzwon ze swoim sercem, ważący tysiące funtów. Szedłem drżący po rozchwianych deskach, patrząc z odległości na ten dzwon, tak popularny wśród dzieci i ludu Paryża, i dostrzegając ze strachem, że łupkowe okapy otaczające pochyłymi płaszczyznami dzwonnice są na poziomie moich nóg. Raz po raz widziałem jakby z lotu ptaka plac przed Notre-Dame i przechodniów jak mrówki.

Nagle olbrzymi dzwon zabrział, głęboka wibracja poruszyła powietrze, zachwiała ciężką wieżą. Podłoga podskakiwała pod belkami. Huk omal że mnie nie przewrócił, zachwiałem się, prawie upadłem, omal się nie stoczyłem po pochyłych łupkowych okapach.

Przerażony ległem na deskach ściskając je mocno rękami, bez krzyku, bez tchu, z ogromnym tętnieniem w uszach, a w oczach z przepaścią, przerażony tym głębokim placem, po którym idzie tylu przechodniów, spokojnych i godnych zazdrości.

Otóż teraz wydaje mi się, że jestem w tej dzwonnicy. Jest to naraz oszołomienie i olśnienie. Hałas dzwonu wypełnia mi mózg i widzę już wokół siebie, tyle że z daleka i poprzez szczeliny otchłani, to proste, spokojne życie, z którym się rozstałem, a w którym inni ludzie poruszają się.

37

Ratusz to budynek złowrogi.

Ze swoim ostrym i sztywnym dachem, z tą dziwną wieżyczką, tym wielkim białym zegarem, niezliczonymi oknami, schodami wytartymi od kroków, dwoma łukami, z prawej i z lewej strony - wznosi się tutaj na równym poziomie z placem Grčve, mroczny, ponury, z frontem przeżartym starością i tak czarny, że czarny jest nawet w słońcu.

W dni straceń wypluwa żandarmów ze wszystkich drzwi i ogląda skazańca ze wszystkich okien.

A wieczorem tarcza zegara, która zaznaczyła ową godzinę, trwa świetliście, na jego mrocznej fasadzie.

38

Jest kwadrans po pierwszej.

Oto co teraz odczuwam:

Gwałtowny ból głowy, zimno w krzyżach, płonące czoło. Ilekroć wstaję lub się schylam, mam wrażenie, że w moim mózgu przelewa się jakiś płyn, który sprawia, że mózg się obija o ścianki czaszki. Przebiegają mnie konwulsyjne drgania, pióro raz po raz wypada mi z ręki, jakby pod wpływem wstrząsu galwanicznego.

Oczy mnie palą jak od dymu.

Jeszcze dwie godziny czterdzieści pięć minut, a będę uleczony.

39

Oni mówią, że to nic, że nie boli, że to łagodny koniec, bardzo uproszczony rodzaj śmierci.

A więc czym jest ta sześciotygodniowa agonia i całodzienne przedśmiertne charczenie?

Czym są lęki tego niezastąpionego dnia, co upływa tak wolno i tak szybko zarazem?

Czym jest ta drabina tortur prowadząca na szafot?

Widocznie to jeszcze nie jest cierpienie. A przecież są to chyba te same konwulsje, bez względu na to, czy się krew toczy kropla po kropli, czy też rozum gaśnie myśl po myśli?

A poza tym skąd ta pewność, że się nie cierpi? Kto im to powiedział. Czy kto kiedyś widział, żeby odcięta zakrwawiona głowa stanęła sztorcem na skraju kosza i zawołała do ludzi: "To nie boli"?

Czy ktoś, kto zmarł w ten sposób, powrócił, żeby im podziękować i powiedzieć: "Dobry wynalazek, zostańcie przy tym, dobry mechanizm"?

Może Robespierre? Może Ludwik XVI?

Nie, nic! Mniej niż minuta, mniej niż sekunda - i po wszystkim. Czy oni kiedyś, choćby w myśli, postawili się na miejscu tego, który jest tam, w momencie, kiedy ciężki nóż spadając przecina ciało, rozrywa nerwy, łamie kręgi? Ale co tam... przecież to tylko pół sekundy, i już po bólu! ... Zgroza!

40

Dziwne, że cały czas myślę o królu. Próżno się bronię, próżno potrząsam głową, jakiś głos w uchu mówi mi ciągle:

- W tym samym mieście, o tej właśnie godzinie, i to niezbyt daleko stąd, w innym pałacu, jest człowiek, który też ma strażę u wszystkich drzwi, człowiek jak ty wyjątkowy wśród całego narodu, z tą jedynie różnicą, że on jest równie wysoko, jak ty nisko. Całe jego życie, chwila po chwili, jest tylko chwałą, wielkością, rozkoszą, upojeniem. Wszystka wokół niego miłością, szacunkiem, uwielbieniem. Najdonośniejsze głosy stają się ciche, gdy mówią da niego, pochylają się najdumniejsze czoła. Przed oczami ma tylko jedwab i złoto. O tej parze przewodniczy radzie ministrów, a wszyscy są tego samego zdania co on; albo myśli o jutrzejszym polowaniu, o dzisiejszym balu, pewny, że festyn zacznie się punktualnie, zastawiając innym troskę a jego przyjemności. Otóż ten człowiek jest jak ty z krwi i kości. I ten

straszny szafot mógłby runąć natychmiast, wszystka mogłoby ci zostać zwrócone - życie, wolność, majątek, radzi na; wystarczyłoby, aby napisał siedem liter swego imienia u dołu kartki papieru alba też aby jego karetka spotkała się z twoim wózkiem! On jest dobry i może nie miałby nic przeciw temu - a jednak ta się nie stanie!

41

No dobra, odwagi, chwycimy oburącz tę straszną myśl, popatrzmy śmierci w twarz. Każmy jej zdać sprawę z tego, czym jest, dowiedzmy się, czego chce od nas, obróćmy ją na wszystkie strony, rozwiążmy zagadkę i zajrzyjmy zawczasu da grobu.

Wydaje mi się, że skoro tylko zamknę oczy, ujrzę wielką światłość i otchłanie blasku, w których mój rozum będzie się tarzał bez końca. Wydaje mi się, że nieba jest tam świetliste własną macą, że ciała niebieskie są na nim ciemnymi plamami i że zamiast być jak dla żywych oczu złotymi cętkami na czarnym aksamicie, wydają się czarnymi punktami na złotej tkaninie.

A może, nędzniku, jest to otchłań ohydna, głęboka, o ścianach osnutych mrokiem, otchłań, w którą będziesz wpadał bez końca, widząc jakieś kształty poruszające się w mroku.

Albo też budząc się już po wszystkim, znajdę się na jakiejś płaskiej wilgotnej powierzchni, pełzając w ciemnościach i wirując wokół siebie samego, jak spadająca głowa. Wydaje mi się, że zastanę tam wicherę, która mnie będzie popychać, i że mnie będą potraćać tu i ówdzie inne spadające głowy. Miejscami są tam kałuże i strumienie jakiejś nieznannej ciepławej cieczy, poza tym wszystka czarne. Kiedy mają oczy w swych obrotach zwrócą się w górę, ujrzą tylko zamglone nieba o grubych warstwach ciężących nad nimi, a w dali, w głębi, wielkie zwały dymu, czarniejsze od mroków. Oczy me także zobaczą polatujące wśród nocy czerwone iskierki, które zbliżając się staną się ognistymi ptakami. I tak będzie przez całą wieczność.

Możliwe też, że czasami zmarli z Grčve zbierają się w czarne zimowe noce na swoim placu. Jest to bledy, skrwawiony tłum, w którym nie zabraknie i mnie. Księżyc nie ma, rozmowy się toczą po cichu. Widzę tam także ratusz z jego spróchniałą fasadą, poszarpanym dachem i tarczą zegara, bezlitosną dla wszystkich. Jest także na placu

gilotyna piekielna, na której diabeł zetnie kata, stanie się to o czwartej rano. My z kolei zgromadzimy się tłumnie wokół.

Prawdopodobnie tak właśnie jest. Ale jeżeli ci zmarli wracają, to w jakiej postaci? Co zachowują ze swego ciała, niekompletnego i okaleczonego? Co wybierają? Czy widmem jest głowa, czy tułów?

Niestety nie wiemy, co śmierć czyni z naszą, duszą; jaką naturę jej zostawia, co ma jej do odebrania czy dania, gdzie ją umieszcza? Czy użycza jej niekiedy cielesnych oczu, aby mogła spoglądać na ziemię i płakać?..

Ach, kapłana, kapłana, co by to wiedział! Chcę kapłana i krucyfiksu do ucałowania!  
Boże, wciąż ten sam!

42

Poprosiłem, żeby mi pozwolono spać i rzuciłem się na łóżko.

Bo istotnie miałem w głowie strumień krwi, który mnie uśpił. To mój ostatni sen, sen tego rodzaju.

Śniłem sen.

Śniłem, że jest noc, że jestem w swoim gabinecie z dwoma lub trzema przyjaciółmi, nie wiem którymi.

Żona z dzieckiem spała w pokoju obok.

Rozmawialiśmy cicho, moi przyjaciele i ja, i to, cośmy mówili, napawało nas lękiem.

Nagle wydało mi się, że słyszę hałas w którymś z dalszych pokoi, hałas słaby, dziwny, nieokreślony. Przyjaciele też go słyszeli. Zaczęliśmy nasłuchiwać. Było to jak cichutko otwierany zamek lub jak ostrożnie piłowany rygiel.

Coś nas w tym zmroziło, baliśmy się. Pomyśleliśmy, że to może złodzieje dostali się do mnie o tej późnej porze.

Postanowiliśmy pójść zobaczyć. Wstałem, wziąłem świecę. Przyjaciele szli za mną gęsiego.

Przeszliśmy przez sypialnię, gdzie spała moja żona z dzieckiem.

Weszliśmy do salonu. Nic. Portrety tkwiły nieruchomo w złotych ramach na czerwonej tapecie. Wydało mi się, że drzwi od salonu do stołowego nie są w zwykłym miejscu.

Weszliśmy do stołowego, obeszlśmy go w koło. Ja szedłem pierwszy. Drzwi prowadzące na schody były zamknięte, okna też. Podeszedłszy do pieca zobaczyłem, że stojąca obok niego bielizniarka jest otwarta, a jej drzwi odsunięte i oparte o ścianę zasłaniając kąt. To mnie zdziwiło. Pomyśleliśmy, że za tymi drzwiami ktoś jest.

Chciałem zamknąć szafę, ale drzwi nie puszczały. Zdumiony pociągnąłem mocniej, drzwi raptem puściły i okazało się, że stoi za nimi mała staruszka ze zwisającymi rękami, zamkniętymi oczami, stoi bez ruchu, jakby wlepiona w kąt.

Było w tym coś odrażającego, włosy mi stają dęba na samą myśl o tym.

Zapytałem starą:

- Co pani tu robi?

Nie odpowiedziała.

Zapytałem:

- Kim pani jest?

Nie odpowiedziała, nie poruszyła się, nie otworzyła oczu.

Przyjaciele zauważyli:

- To jest pewnie współniczka tych, którzy weszli tu w złych zamiarach. Jak usłyszeli, że idziemy, uciekli, a ona nie zdążyła uciec i schowała się tutaj.

Zapytałem ją znowu, ale milczała, bez ruchu, bez jednego spojrzenia.

Któryś z nas ją popchnął - upadła.

Upadła jak kłoda, jak martwy przedmiot.

Traciliśmy ją nogą, potem dwaj z nas podnieśli ją i znów oparli o ścianę. Nie dawała znaku życia. Krzyczeliśmy jej do ucha, nie wydała ani dźwięku, jakby była głucha.

Myśmy tymczasem tracili cierpliwość i w naszej zgrozie była domieszka wściekłości.

Któryś z nas powiedział:

- Wsadźmy jej świecę pod brodę.

Wsadziłem jej pod brodę płonący knot. Wtedy na wpół otworzyła jedno oko, oko puste, matowe, okropne i niepatrzące.

Odsunąłem płomień i spytałem:

- Czy wreszcie odpowiesz, ty stara wiedźmo? Ktoś ty taka?

Oko zamknęło się z powrotem.

- Tego już za wiele - odezwali się inni. - Jeszcze świecę, jeszcze, ona musi mówić.

Znów podsunąłem płomień pod brodę staruchy. Wtedy otworzyła powoli oczy, popatrzyła na nas, na jednego po drugim, a potem nagle się pochyliwszy, zdmuchnęła świecę lodowatym oddechem. W tej samej chwili poczułem, jak trzy ostre zęby wbijają mi się w rękę. Obudziłem się drżący, pokryty zimnym potem.

Pocciwy kapłan odmawiał pacierze, siedząc w nogach mego łóżka.

- Długo spałem? - spytałem go.

- Synu mój - odrzekł - spałeś godzinę. Przyprowadzono tu twoje dziecko. Jest w pokoju obok, czeka.

Nie pozwoliłem, żeby cię zbudzono.

- Moja córka! - zawołałem. - Niech ją tu wpuszczają!

43

Jest hoża, różowa, ma wielkie oczy, jest śliczna!

Ma na sobie sukieneczkę bardzo twarzową.

Chwyciłem ją i uniosłem w ramionach, posadziłem sobie na kolanach i zacząłem całować po włosach.

Czemu nie z matką?

- Matka jest chora. Babka też.

To dobrze.

Patrzyła na mnie zdziwiona.

Pieściłem ją, ścisakałem, obsypywałem pocałunkami, ona się nie wzbraniała, ale rzucała od czasu do czasu spojrzenie na swoją nianię płaczącą w kącie.

Wreszcie mogłem dobyć głosu.

- Maryjko! - powiedziałem - moje maleństwo! Przycisnąłem ją gwałtownie do piersi wezbranej łkaniem.

Wydała krótki okrzyk.

- Proszę pana, to boli!

"Proszę pana!" No tak, prawie rok nie widziała mnie, biedactwo. Zapomniała mojej twarzy i głosu, ruchów. Poza tym któż by mnie poznał z tą brodą, bladością, w tym stroju? A więc już się zatarłem w tej pamięci, jedynej, w której chciałbym żyć! A więc już nie jestem ojcem, już nie usłyszę tego słowa w dzieciennym języku, tak słodkiego, że nie może pozostać w języku dorosłych: tatusiu!

A przecież usłyszeć je raz jeszcze. Z tych ust, choćby jeden raz - oto wszystko, czego bym chciał w zamian za czterdzieści lat życia, które mi zabierają.

- Słuchaj, Maryjko - powiedziałem biorąc obie jej rączki w moje - czy ty mnie nie znasz?

Spojrzała na mnie swymi pięknymi oczami i odparła: - Pewnie że nie.

- Popatrz dobrze - dodałem. - Jak to, więc nie wiesz, kto ja jestem?

- Wiem, jeden pan.

Ach, kochać - żarliwie jedną jedyną istotę na świecie, kochać całą miłością swego serca, i mieć ją przed sobą, patrzącą na ciebie, widzącą cię, mówiącą do ciebie i odpowiadającą ci - a przy tym nieznającą cię! Pragnąć pociechy tylko od niej, tej jedynej, która nie wie, że jej potrzebujesz, bo umrzesz za chwilę.

- Maryjko - podjąłem - czy ty znasz tatusia?

- Tak, proszę pana - odparło dziecko.

- A gdzie on jest?

Otworzyła szeroko oczy.

- To pannie wie? On umarł.

Krzyknęła - omal jej nie upuściłem.

- Umarł! - powtórzyłem. - A czy ty wiesz, Maryjko, co to znaczy umarł?

- Tak - odparła. - On jest w ziemi i w niebie.

I mówiła do siebie:

- Modłę się za niego do Bozi co wieczór na kolanach mamusi.

Ucałowałem ją w czoło.

- Maryjko, powiedz mi twój paciorek.

- Nie mogę, proszę pana, paciorka nie mówi się w dzień. Proszę przyjść do mojego domu wieczorem, to powiem panu:

Miałem dość tego, przerwałem jej:

- Maryjko, to ja jestem twoim, tatusiem.

- Ach! - jęknęła.

- Czy chcesz, abym był twoim tatusiem?

- Nie, mój tatuś był o wiele ładniejszy - powiedziało dziecko odwracając się.

Obsypałem ją pocałunkami i łzami. Próbowała się wyrzeć z mych ramion z krzykiem:

- To boli, kłuje mnie pana broda.

Więc posadziłem ją sobie znów na kolanach pozerając oczami, a potem zacząłem pytać:

- Umiesz czytać, Maryjko?

- Tak, trochę umiem - odrzekła. - Mamusia mnie uczy literek.

- No to poczytaj - powiedziałem wskazując na kartkę, którą trzymała w rączce.

Pokręciła swoją śliczną główką.

- Ja umiem czytać tylko bajeczki.

- No, ale spróbuj przynajmniej.

Rozwinęła zmięty papierek i zaczęła sylabizować wodząc paluszką.

- W, y, wy, r, o, k, rok - wyrok.

Wyrwałem jej to z rąk. Czytała mi mój wyrok śmierci!

Niania dostała tę kartkę za jednego su. Mnie kosztowała więcej.

Nie ma słów na to, co czułem. Moja gwałtowność przestraszyła ją, prawie płakała. Nagle zwróciła się do mnie:

- Proszę mi oddać moją kartkę. To do zabawy.

Podąłem niani dziecko:

- Proszę ją zabrać.

I znów opadłem na krzesło, ponury, z pustką w duszy, zrozpaczony. Teraz powinni przyjść, na niczym mi już nie zależy, ostatni fibr mego serca pękł. Dojrzałem do tego, co zrobią.

44

Kapłan jest dobry, strażnik też. Zdaje się, że wylali łzę słysząc, że kazałem zabrać dziecko.

Gotowe. Teraz muszę się zebrać w sobie i pomyśleć na serio o kacie, o wózku, o żandarmach, o tłumie na moście, o tłumie na bulwarze, o tłumie w oknach i o tym, co będzie specjalnie dla mnie na tym potępieńczym placu Grčve, który można by wybrukować spadłymi tam głowami.

Chyba mam jeszcze godzinę na zastanowienie się nad tym.

45

Cały ten ludek będzie się śmiał, klaskał w dłonie, wydawał okrzyki. A wśród tych wszystkich ludzi, wolnych i nieznanych strażnikom, biegnących w radosnym pośpiechu na egzekucję, wśród tego tłumu, który zaleje plac, będzie zapewne niejedna głowa wybrana, która spadnie po mojej, wcześniej lub później, do czerwonego kosza. Niejeden, co dzisiaj przychodzi tu dla mnie, przybędzie kiedyś dla siebie.

Dla tych naznaczonych istot jest w pewnym punkcie placu Grčve pewne fatalne miejsce, ośrodek przyciągania, zasadzka. Oni kręcą się wokół niego, aż się tam dostaną.

46

Moja słodka Maryjka! Zabrali ją stąd, ona patrzy na tłum przez okienko powozu i już nie myśli o tym panu.

Może zdążę jeszcze napisać kilka stron dla niej, aby je przeczytała któregoś dnia i oplakała za lat kilkanaście dzisiejszy dzień.

Tak, musi ode mnie samego poznać moje dzieje i dlaczego nazwisko, które jej zostawiam, jest zakrwawione.

47

MOJE DZIEJE

Uwaga wydawcy. - Jeszcze nie odnaleziono kartek przynależnych do tego tekstu.

Może skazany nie zdążył ich napisać, o czym zdaje się świadczyć to, co nastąpi. Było już za późno, kiedy myśl o tym przyszła mu do głowy.



## Z POKOJU NA RATUSZU

Na Ratuszu!... A więc jestem tutaj. Szkaradny przejazd już poza mną. Oto plac, a pod oknami okropny tłum, który szczeka i czeka, i śmieje się.

Na próżno zbierałem się w sobie, na próżno zaciskałem pięści. - Zabrakło mi odwagi.

Gdy

zobaczyłem ponad głowami tłumu tych dwoje czerwonych ramion z czarnym na końcu trójkątem, wyciągniętych między dwoma latarniami bulwaru, zabrakło mi odwagi.

Oświadczyłem, że chcę złożyć ostatnie oświadczenie. Umieszczono mnie tutaj i posłano po któregoś z prokuratorów królewskich. Czekam na niego, to już jakiś zysk.

No i tak.

Trzecia wybiła, przyszedli uprzedzić mnie, że już czas. Drgnąłem, tak jakbym myślał o czymś innym od sześciu godzin, od sześciu tygodni, od sześciu miesięcy. Zrobiło to na mnie wrażenie czegoś niespodziewanego.

Zmusili mnie do przejścia przez ich korytarze i zejścia po ich schodach. Wepchnęli mnie do izby na parterze, ciemnej, wąskiej, sklepionej, ledwo oświetlonej mdłym światłem deszczowego, mglistego dnia. Na środku izby stało krzesło.

Kazali mi usiąść. Usiadłem.

Koło drzwi i wzdłuż ścian stało kilka osób, oprócz kapłana i policjantów - trzech mężczyzn osobno.

Pierwszy z nich, najwyższy i najstarszy, był tłusty, o czerwonej twarzy. Miał na sobie surdut i zniszczony trójgraniasty kapelusz.

To był on.

To był kat, pacholek gilotyny. Dwaj pozostali - jego pacholki.

Ledwo usiadłem, tamci dwaj zbliżyli się do mnie od tyłu, jak koty, i nagle poczułem dotknięcie stali na karku i zgrzyt nożyc w uszach. Moje włosy, ścinane byle jak, spadały mi pasmami na ramiona, a człowiek w trójgraniastym kapeluszu zmiatał je łagodnie swoją grubą ręką.

Wokół nas rozmawiano po cichu.

Na zewnątrz był wielki hałas, jakieś drganie wibrujące w powietrzu. Z początku myślałem, że to rzeka, ale po wybuchach śmiechu poznałem, że to tłum.

Jakiś młody człowiek pod oknem, który pisał ołówkiem na podłożonej teoczce, zapytał strażnika, jak się nazywa to, co się tu robi.

- Toaleta skazańca - odpowiedział tamten.

Zrozumiałe, że będzie o tym jutro w gazecie. Nagle jeden z pacholców zdjął mi marynarkę, a drugi ujął mnie za obie ręce, skrzyżował mi je za plecami i poczułem, że sznur się owija wokół złączonych napiętek. Jednocześnie drugi zdejmował mi krawat. Moja batystowa koszula, jedyny strzęp, który został po mnie dawnym, przyprawiła go o chwilę wahania, ale potem zaczął przecinać jej kołnierz.

Od tych okropnych zabiegów, zimnych dotknięć stali na karku zadrzałem i wydałem stłumiony skowyt.

Ręka oprawcy drgnęła.

- Ach, bardzo pana przepraszam! - rzekł. - Czy zabolalo?

Ci oprawcy to bardzo delikatni ludzie.

Tłum na zewnątrz wył jeszcze głośniej.

Gruby mężczyzna o pryszczatej twarzy dał mi do powąchania chustkę umoczoną w occie.

- Dziękuję panu - powiedziałem najspokojniej jak mogłem - to zbyt ciężkie, dobrze się czuję.

Wtedy jeden z nich schylił się i związał mi nogi cienkim, luźnym sznurkiem, który pozwalał mi tylko na drobne kroczki, potem związał ten sznurek z tym, co krępował mi ręce.

Gruby mężczyzna narzucił mi marynarkę na ramiona i związał rękawy pod brodą. Teraz wszystko było gotowe.

Ksiądz zbliżył się z krucyfiksem.

- Chodźmy, synu - powiedział.

Pachołkowie ujęli mnie pod pachy. Wstałem, poszedłem. Nogi się ugiwały pode mną. W tej chwili zewnętrzne drzwi rozwarły się na oścież. Do izby wdarł się potworny wrzask, zimne powietrze i białe światło. Z głębi ciemnego otworu drzwiowego nagle ujrzałem przez zasłonę deszczu mrowie wrzeszczących głów, stłoczonych w nieładzie na podeście głównych schodów Pałacu; po prawej, na poziomie progu, szereg konnych żandarmów - przez niskie drzwi mogłem dojrzeć tylko końskie przednie nogi i piersi; naprzeciwko oddział żołnierzy w szyku bojowym; po lewej tył wózka, o który opierała się drabina. Ohydny obraz w ramie drzwi więzienia.

Na tę fatalną chwilę oszczędzałem odwagę. Zrobiłem trzy kroki i ukazałem się na progu.

- Jest, jest! - zawołał tłum. - Wychodzi! Nareszcie!

Ci, co stali najbliżej mnie, klaskali w dłonie. Nawet widok umiłowanego króla nie sprawiłby takiej uciechy.

Był to zwykły wózek z nędzną szkapą i z woźnicą w niebieskim kaftanie w czerwone wzory, takim, jakie noszą ogrodnicy z okolic Bicêtre.

Grubas w trójkątnym kapeluszu wsiadł pierwszy.

- Dzień dobry, panie Samsonie! - wołały dzieci uwieszone kraty.

Po nim wsiadł jeden z pachołków.

- Brawo, Wtorek! - znów zawołały dzieci.

Usiedli obaj na przedniej ławeczce.

Teraz była moja kolej. Wsiadłem z dość pewną miną.

- Dobrze się trzyma! - powiedziała jakaś kobieta. Ta okrutna pochwała dodała mi ducha.

Ksiądz usiadł obok. Posadzono mnie na tylnej ławeczce, tyłem do konia. Zadrzałem notując tę ostatnią okazaną mi delikatność.

Oni to robią humanitarnie!

Chciałem się rozejrzeć wokół. Żandarmi z przodu, żandarmi z tyłu, tłum, tłum i jeszcze raz tłum, morze głów na placu.

Przed bramą ogrodzenia Pałacu czekała na mnie pikietą żandarmów.

Oficer wydał rozkaz. Wózek ze swą eskortą ruszył z miejsca, jakby popchnięty do przodu wyciem motłochu.

Wyjechaliśmy z bramy. Kiedy wózek skręcił w stronę Pont-au-Change, plac wybuchnął hałasem od bruku do dachów, a mosty i bulwary odpowiedziały echem zdolnym wywołać trzęsienie ziemi.

W tym miejscu czekająca pikietą dołączyła do eskorty.

- Odkryć głowy! Odkryć głowy! - zawołały tysiące głosów naraz. - Jak dla króla.

Wybuchnąłem śmiechem i rzekłem do kapłana:

- Oni odkryć, a ja - stracić.

Jechaliśmy stępa.

Rynek kwiatowy pachniał z daleka, był dzień targowy. Kwiaciarki porzuciły dla mnie swoje bukiety. Naprzeciwko, nieco przed kwadratową wieżą będącą narożnikiem Pałacu, znajdują się knajpy. W ich oknach pełno było widzów, uszczęśliwionych świetnymi miejscami, zwłaszcza kobiet. Będzie to dobry dzień dla szynkarzy. Odnajmowano stoliki, krzesła, taborety, taczki. Wszystko się uginało od widzów. Handlarze ludzką krwią wrzeszczeli na zabój:

- Komu miejsce? komu?

Wściekłem się na ten tłum. Miałem ochotę krzyknąć do nich:

- Komu moje miejsce?

Tymczasem nasz wózek posuwał się dalej. Tłum rozstępował się przed nim i zwierał zaraz po jego przejeździe; błędnym wzrokiem widziałem, jak formuje się znów nieco dalej, w innych punktach mego przejazdu.

Po wjechaniu na Pont-au-Change rzuciłem przypadkiem okiem na prawo w tył. Moje spojrzenie zatrzymało się na innym bulwarze, ponad domami, na czarnej, samotnej wieży najeżonej rzeźbami; na której szczycie widziałem dwa kamienne potwory siedzące profilem. Nie wiem, dlaczego zapytałem kapłana, co to za wieża.

- Saint-Jacques-la-Boucherie - odpowiedział kat.

Nie wiem, jak się to działo: wśród mgły i drobnego deszczu, rysującego powietrze jak siatka pajęczna, nie traciłem z oczu niczego dokoła. Każdy z tych szczegółów sprawiał mi nową torturę. Brak słów na wzruszenia.

Mniej więcej w połowie Pont-au-Change, tak szerokiego i zatłoczonego, że poruszaliśmy się z trudem, ogarnęła mnie raptem straszliwa zgroza. Zląkłem się, że zemdleję, wstydziłem się tego uczucia. Spróbowałem więc oszołomić się sam, aby być ślepym i głuchym na wszystko prócz księdza, którego słowa, pomieszane z wrzawą tłumy, ledwo słyszałem.

Wziąłem krucyfiks i ucałowałem go ze słowami:

- Boże, zmiłuj się nade mną.

I próbowałem zatracić się w tej myśli.

Ale każdy podskok niewygodnego wózka wstrząsał mną. Potem nagle poczułem straszne zimno. Deszcz przeniknął przez moje ubranie i moczył mi głowę przez obcięte krótkie włosy.

- Drżysz z zimna, synu? - zapytał mnie ksiądz.

- Tak - odparłem.

Niestety nie tylko z zimna.

Gdy skręcaliśmy z mostu, parę kobiet uzaliło się nade mną, że taki młody.

Wjechaliśmy na fatalny bulwar. Przystawałem widzieć i słyszeć cokolwiek. Wszystkie te głosy, wszystkie te głowy w oknach, w drzwiach; przy ogrodzeniach sklepików, na latarniach; ci widzowie okrutni i zachłanni, ten tłum, w którym wszyscy mnie znają, a ja nie znam nikogo; ta droga wyścielona i wybrukowana twarzami ludzkimi. Byłem pijany, ogłupiały. Cóż za okropna rzecz - ciężar wszystkich tych spojrzeń zwróconych na człowieka.

Chciałem się więc na ławce, nie zwracając nawet uwagi na księdza i krucyfiks. W otaczającym mnie tłumie nie odróżniałem już krzyków litości od krzyków radości, śmiechu od skarg, głosów od hałasu, wszystko to było wrzawą rozbrzmiewającą mi w głowie jak w miedzianej trąbie.

Moje oczy machinalnie czytały szyldy sklepów.

Raz ogarnęła mnie dziwna chęć, by odwrócić głowę i spojrzeć, ku czemu podążam. Był to ostatni odruch inteligencji, ale ciało nie zgodziło się, kark był sparaliżowany, jakby zawczasu martwy.

Spostrzegłem tylko z boku, po lewej stronie, za rzeką, wieżę Notre-Dame, która widziana stąd zasłaniała tę drugą wieżę. To ta, na której jest sztandar. Było dużo ludzi, i to dobrze widzących.

A wózek jechał, jechał, szyldy następowały po szyldach, pisane, malowane, złocone, a motłoch śmiał się i taplał w błocie, a ja pozwalałem się unosić, jak śpiący pozwala unosić się fali snu.

Nagle szereg sklepików przyciągających moje oczy urwał się na rogu jakiegoś placu, głos tłumu stał się rozleglejszy, donośniejszy, jeszcze radośniejszy, wózek zatrzymał się raptem i omal nie upadłem twarzą na deski. Przytrzymał mnie ksiądz.

- Odwagi! - szepnął.

Oparto drabinę o wózek, ksiądz podał mi rękę, zszedłem, zrobiłem krok, chciałem zrobić drugi - ale nie mogłem.

Między dwiema latarniami bulwaru zobaczyłem coś złowrogiego.

Ach, była to rzeczywistość!

Stanąłem w miejscu, jakby zachwiawszy się pod ciosem.

- Chcę złożyć ostatnie oświadczenie - zawołałem słabym głosem.

Przyprowadzono mnie tutaj.

Poprosiłem, by mi pozwolono napisać moją ostatnią wolę. Rozwiązali mi ręce, ale sznur leży obok gotowy, a reszta jest poniżej.

49

Przyszedł ktoś - sędzia, komisarz, urzędnik - nie wiem dokładnie.

Poprosiłem go o ulaskawienie składając ręce i wlokąc się na klęczkach.

Zapytał mnie z uśmiechem, który wcale nie dodawał otuchy, czy to jest wszystko, co mu mam do powiedzenia.

- Łaski, łaski! - powtarzałem - lub z litości choć jeszcze pięć minut.

Kto wie? Może przyjdzie ulaskawienie? To takie okropne w moim wieku umrzeć w ten sposób! Często bywa, że łaska przychodzi w ostatnim momencie. A kogóż by można ulaskawić, proszę pana, jeżeli nie mnie?

Ten okropny kat! Zbliżył się do sędziego, by mu powiedzieć, że wyrok ma być wykonany o określonej porze i że ta pora się zbliża, że on odpowiada, że zresztą deszcz pada i może zardzewieć.

- Och, litości, chwileczkę, ja czekam na ułaskawienie! Bo będę się bronił, pogryzę!

Sędzia i kat wyszli. Jestem sam. Sam z dwoma policjantami.

Och, ten straszny tłum z odgłosami hieny! Kto wie, czy im nie umknę, czy nie będę ocalony, czy nie przyjdzie ułaskawienie? Niemożliwe, żeby mnie nie ułaskawiono...

Och, nędznicy! Chyba ktoś idzie po schodach...

CZWARTA GODZINA

KONIEC